**Nr 101. Kraków, Niedziela 11 Kwietnia 1909. Rok XVII.**

PRENUMERATA wynosi w Krakowie: miesięcznie 2 kor., kwartalnie 6 kor., za odnoszenie do domu dopłaca się 40 hal.

Na prowincyi: miesięcznie 2 kor. 70 h., kwartalnie 8 kor. W państwie Niemieckiem kwartalnie 10 kor., w innych państwach kwartalnie 12 kor. Zmiana adresu 40 hal.

Cena numeru pojedynczego 10 hal. Cena numeru poniedziałkowego 4 h.

# GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie o godz. 6-ej wieczorem z wyjątkiem niedziel i świąt.

W dni poświąteczne wychodzi dwa razy dziennie: o godz. 8-ej rano i o godz. 6-ej wieczorem.

Listy pieniężne, przekazy za prenumeratę i inseraty nadsyłać należy franco do Administracyi „Głosu Narodu“. — Prenumeratę oprócz upoważnionych agencyi przyjmuje każdy urząd pocztowy w obrębie monarchii i w państwie niemieckiem. Reklamacye nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej. — Rękopisów redakcya nie zwraca.

Adres Red.: Ul. św. Krzyża l. 7. Adres tel. „Głos Narodu“ Kraków. Tel. Nr. 159

OGŁOSZENIA (inseraty) przyjmuje Administracya „Głosu Narodu“, róg ul. św. Krzyża i Mikołajskiej L. 7. Od miejsca za wiersz drobnem pismem (petit) za pierwszy raz 16 halerzy, za każdy następny raz 12 hal., skład tabelaryczny, liczbowy, od wiersza 30 hal. za pierwszy raz, każdy następny 12 hal. Nadesłane po 60 hal. od wiersza za każdy raz. Nekrologi itd. 80 hal. Załączniki do „Głosu Narodu (prospekty, cyrkularze, ogłoszenia itp.) przyjmuje się za cenę 2 kor. od 100 egz. dla zamiejscowych, a 1 k. od 100 egz. dla miejscowych prenumeratorów. Zamiejscowe ogłoszenia przyjmuje we Lwowie S. Sokołowski (Pasaż Hausmana), w Wiedniu Haasenstein & Vogler, M. Dukes, H. Schalek, E. Braun, R. Mosse, H. Friedl, w Berlinie F. E. Coe, w Budapeszcie J. Leopold, w Paryżu de Raczkowski 14 Cité de Trevise, F. Jones & Cie, A. Lorette.



## W dzień Zmartwychwstania.

Z boleścią i trwogą w sercu oczekiwali uczniowie Chrystusa brzasku dnia trzeciego po męczeńskim Jego zgonie na krzyżu. Czy spełni się to, co zapowiedział, czy zwyciężywszy nad śmiercią potwierdzi On boskość swoją i dopełni swego posłannictwa? Ukochali Go oni ponad wszystko, a ta miłość bezgraniczna nakazywała im wierzyć. Lecz cały świat w około śmiał się i szydził z ich wiary i urągał Temu — bez którego oni już nie pojmowali życia. I pod wpływem tych urągań, tego tryumfu złości nad boską Jego nauką do serc ich zaczęło wkradać się zwątpienie. Zaledwie atoli pierwsze promienie słońca ozłociły wieże Syonu, nadbiegły niewiasty i przyniosły im wieść radosną: Zmartwychwstał!

Na wieść tę radość niezmierna opanowała ich dusze i uczuli w sobie część tej mocy, którą on pokonał śmierć i piekło. I gdy potem rozesłał ich po świecie, ażeby głosili Jego zakon i naukę — za jego przykładem szli ochotnie na trudy, znoje i śmierć męczeńską, powodowani jednem tylko pragnieniem wyrwania ludzkości z pęt pogaństwa i otwarcia jej drogi do zbawienia.

Krwawym był posiew tej apostolskiej pracy. Przez morze krwi wyznawców, zwolna tylko przez wieki całe kroczyła prawda Boża, zanim zdołała pokonać rozpasaną moc ciemnoty i złości ludzkiej. A i dziś, jakkolwiek Krzyż Zbawiciela świeci już nad całym światem, dalszego jeszcze posiewu krwi męczeńskiej potrzeba, dalszego pełnego poświęcenia apostolstwa, ażeby ludzkość cała w jedną zamieniła się owczarnię pod boskiem pasterstwem Chrystusa. I wieki jeszcze miną, pełne męki, cierpień i niedoli, zanim spełni się i ta zapowiedź Zbawiciela, zanim nastanie chwila, w której już z każdego zakątka ziemi, z każdej ludzkiej piersi w dniu Zmartwychwstania rozbrzmiewać będzie radosne »Alleluja«...

Droga do tego celu dziś niemniej ciernista, jak była za czasów pierwszych Apostołów. Bo w miarę, jak ludzkość oddala się od owego dnia świętego, w którym On zmartwychwstał i dopełnił dzieła odkupienia, ludzkość w nowe popada wątpliwości i nową niewiarę, w nowe pęta pogaństwa i złości, a przez to w nowe piekło męki życiowej...

To też w czasach dzisiejszych do obowiązków apostolstwa poczuwać się powinien każdy, kto wierzy w Chrystusa. Nie wolno dziś trudu tego pozostawiać jedynie tym, którzy powołanie swoje widzą tylko w służbie kapłańskiej. Wiernem wykonywaniem nauki Chrystusa dziś każdy jego wyznawca walczyć powinien o zwycięstwo prawdy Boskiej. Etykę chrześcijańską wnosić należy do wszelkich dziedzin życia społecznego, bo tylko ona zdoła zapewnić ludzkości spokój i zadowolenie.

* * *

Nowoczesne pogaństwo, urągające zakonowi Chrystusa, grzęznące coraz bardziej w bagnie wstrętnego i zabójczego materyalizmu, ciąży może najdotkliwiej nad naszym narodem. Niema bezprawia, niema krzywdy i boleści, którejby nam oszczędzili nasi wrogowie i ciemiężcy, podszywający się obłudnie pod miano narodów chrześcijańskich. Jak ongi garstka uczniów Chrystusowych z trwogą i utęsknieniem w sercach oczekiwała zmartwychwstania Mistrza swego, tak i my czekamy w niepokoju i tęsknocie na odzyskanie tego, co utraciliśmy.

Wśród tej naszej drogi krzyżowej chętnie i z pewnem przeczulaniem naszego jestestwa przyrównujemy się do pierwszych chrześcian wyznawców, do owych męczenników, którzy krwią swoją torowali drogę prawdziwej wierze i Królestwu Bożemu na ziemi. Rzadko atoli tylko uprzytomniamy sobie, jak wielka dzieli nas od nich różnica. Czy chociaż w przybliżeniu wykonujemy nasze narodowe obowiązki, tak, jak oni pojmowali i wykonywali naukę Chrystusa i swoje wobec niego obowiązki? Oni nietylko śmiercią męczeńską, ale całem życiem swojem dawali świadectwo nauce Tego, w którego uwierzyli jako w Zbawiciela swego.

U nas pragnienia i wierzenia daleko odbiegają od czynów. Rościmy sobie prawo do jak najrychlejszego odzyskania samodzielnego bytu narodowego, a nie badamy należycie, czy naprawdę już zdobyliśmy sobie to prawo? To, co zwiemy dziś chełpliwie odrodzeniem się narodu naszego, to chyba dopiero połowa tego, co w tym kierunku zdziałać powinniśmy i zdziałać musimy. Cierpimy pod obuchem antichrześcijańskich dążności naszych wrogów, a zamiast zwalczać je coraz większem udoskonalaniem się na zasadach etyki chrześcijańskiej, naśladujemy przewrotności naszych ciemięzców i za ich przykładem rzucamy się w objęcia materyalizmu. Zamiast budować byt nasz na czystości uczuć narodowych i w ściśle narodowej pracy szukać ocalenia, jakże chętnie oddajemy się pod przewodnictwo tych, którzy wnoszą w nasz organizm narodowy zgniliznę korupcyi i rozstroju moralnego. Bawimy się w deklamacye o równości wszystkich stanów, a z jakąś niechęcią w praktyce otwieramy serca dla tych najbiedniejszych z braci naszych, dla których ojczyzna była dotychczas macochą a nie matką. Socyalne równouprawnienie jest dziś jeszcze u nas tylko czczem hasłem, blichtrem, którym pokrywamy osobisty i stanowy egoizm, tę najnieszczęśniejszą spuściznę po przeszłości. Zręczne wyzyskiwanie dobrej wiary bliźnich, obłudę i nieszczerość, byle tylko uwieńczone powodzeniem materyalnem, stawiamy wyżej, niż czystość serca i ręki. A tak postępując dziwimy się i biadamy, że upragnionej chwili odzyskania samodzielności narodowej — tego politycznego zmartwychwstania, doczekać się nie możemy...

I nie doczekamy się jej, dopóki naprawdę nie wejdziemy w siebie, dopóki nie powiemy sobie otwarcie, że dotychczas zdziałaliśmy zbyt mało, iżby Opatrzność zesłać nam miała tę z tęsknotą oczekiwaną chwilę. Wejdźmy w siebie, oprzyjmy narodowe życie nasze na zasadach chrześcijańskich, wyplenimy resztę chwastów, krzewiących się na naszej ziemi — a wówczas dopiero spełnią się pragnienia nasze i wówczas dopiero z wesołem »Alleluja« ku czci zmartwychwstałego Chrystusa rozbrzmiewać będzie mogła u nas radosna pieśń także narodowego zmartwychwstania!

## Przesilenie w ruchu socyalistycznym w Austryi.

III.

Szczegółowy rozbiór i omówienie sprawozdań wszystkich poszczególnych zawodowych związków socyalistycznych w Austryi za wieleby nam miejsca i czasu zajęło, tembardziej, że socyaliści nie lubiący w podobnych wypadkach światła dziennego skrzętnie fikcyjnemi cyframi starają się upadek i rozkład swych organizacyi zamaskować. Jako ilustracya usiłowań ich w tym kierunku służyć może między innemi sprawozdanie związku robotników drzewnych — który faktycznie w r. 1908 zyskał tylko — jak wyżej wykazaliśmy — 569 członków, a jednak »towarzysze« na podstawie wpłaconych wkładek doliczyli się, że związkowi przybyło około 2000 członków i tę cyfrę też podali w oficyalnym organie centralnej Komisyi zawodowej: »Die Gewerkschaft« i wydawnictwie »Urzędu statystycznego« przy ministerstwie handlu: »Sociale Rundschau«. Podobne »krętactwa« zachodzą także w sprawozdaniach innych związków, wobec czego rzeczywisty stan rzeczy trudno stwierdzić. Ograniczymy się więc na zaznaczeniu, iż ogólna liczba straconych przez wszystkie zawodowe związki socyalistyczne członków wynosiła w r. 1908 wedle ich własnych sprawozdań przeszło 25.000, przybyło zaś tylko 17.000, czyli faktyczny ubytek wynosi przeszło 8.000 członków. W porównaniu z przyrostem w latach poprzednich uzyskanym, który wykazaliśmy na wstępie, w pierwszym artykule tej kwestyi poświęconym, zupełnie śmiało przyjąć można twierdzenie, iż ogół zawodowych organizacyi socyalistycznych powinien był uzyskać w roku ubiegłym minimalnie jakie 70.000 nowych członków! Tymczasem nie zdobyły one faktycznie żadnego członka przeciwnie straciły ich jeszcze w porównaniu z liczbą z końca roku 1907 przeszło 8.000 czyli, że ogólna strata „czerwonych“ związków zawodowych w Austryi wynosi w roku 1908 około 80.000 ludzi. Jak na jeden rok — to stanowczo za wiele i powetować tę niezwykłą stratę będzie rzeczą niezwykle trudną i bodaj czy wogóle możliwą.

Przywódcy socyalistyczni, organy związków i wogóle prasa partyjna ten niezwykły w ruchu robotniczym a wielce przykry i brzemienny w konsekwencye dla stronnictwa socyalno-demokratycznego objaw tłómaczą w pierwszym rzędzie przesileniem gospodarczem, następnie zaniedbaniem agitacyi i pracy zawodowej, brakiem odpowiedniego do związków między robotnikami materyału organizacyjnego, a w latach poprzednich jeszcze agitacyą polityczną i »robieniem« wyborów.

Tłómaczenia te jednak, jak już raz zaznaczyliśmy, nie wytrzymują krytyki, obliczone są na »zamydlenie oczu« najpierw pozostałym jeszcze w związkach członkom, następnie opinii publicznej.

Jednym poważniejszym argumentem jest powoływanie się na przesilenie gospodarcze, które faktycznie, zwłaszcza pod koniec ubiegłego roku, wskutek zatargów na Bałkanie, przybrało w Austryi poważne rozmiary i bardzo znaczna liczba robotników pozbawionych została pracy i zarobku, dlatego i do związków zawodowych należeć nie mogła, bo nie miała czem wkładek opłacać. Depresya ekonomiczna jednak nie była ogólną i rozpoczęła się poważniej dopiero z chwilą zamieszek politycznych o aneksyę Bośni i Hercegowiny — tymczasem związki socyalistyczne zaczęły się cofać w r. 1906, w czasie najświetniejszych konjunktur i ogólnego ekonomiczno-gospodarczego rozwoju państwa. Upadek związków w roku ubiegłym był tylko niejako dalszą nieubłaganą konsekwencyą tego, co się w r. 1906 zaczęło i nie można go w żaden sposób wytłomaczyć chwilowym gospodarczym zastojem.

Twierdzeniu, że zaniedbane agitacyi i pracy zawodowej, zadają kłam oczywisty liczby urządzonych zgromadzeń agitacyjnych, które nie są stosunkowo wcale mniejsze od takich samych liczb w latach poprzednich, przeciwnie w poszczególnych organizacyach wzrosły one znaczne — wreszcie same przyznania się niektórych organów socyalistycznych, że »pomimo wytężonej wielkiej pracy agitacyjnej przyrost członków zawiódł oczekiwania« — ponieważ go wcale nie było.

O braku odpowiedniego materyału między robotnikami do organizacyi się nadającego — nawet mówić nie można. Na półtrzecia miliona robotników przemysłowych w Austryi, zaledwie niecałych 600.000 należy do robotniczych związków zawodowych. Zatem blisko dwa miliony robotników chodzi jeszcze luzem, nie należąc do żadnej organizacyi. Pole do pracy dla związków robotniczych jest więc olbrzymie i leży przeważnie odłogiem nie obrabiane przez nikogo.

Jeżeli zaś w końcu socyaliści tłómaczą upadek swych związków zawodowych — w latach poprzednich 1906 i 1907 — agitacyą polityczną za reformą wyborczą do parlamentu, a następnie akcyą wyborczą — to liczą na grubą nieświadomość i krótką pamięć swych własnych zwolenników i ogółu. Stwierdzić bowiem i podnieść z naciskiem należy, że wczasie najsilniejszej agitacyi politycznej, jaką kiedykolwiek partya socyalistyczna prowadziła, to jest w r. 1905 zawodowe związki socyalistyczne miały właśnie największy, kulminacyjny przyrost członków, jakiego nie miały nigdy przedtem i zapewne niebędą mieć w przyszłości. Potężny ten przyrost nowych szeregowców zawdzięczały związki socyalistyczne nie czemu innemu, tylko wielkiej agitacyi politycznej stronnictwa socyalno-demokratycznego, która prawie w równej mierze oddziaływała na rozwój zawodowych organizacyi, stanowiących w pojęciu ludności roboczej i w rzeczywistości integralną część socyalnej demokracyi jako takiej.

Tak w świetle konkretnych faktów i twardej rzeczywistości przedstawiają się wywody socyalistycznych przywódców i organów, tłómaczące upadek ich związków zawodowych.

## Pokłosie bałkańskie.

(Urzędowa „Rossija“ o porażce Rosyi. „Przyjacielska rada“ czy ultimatum? „Now. Wremia“ o „oficyalnych“ wykrętach. Pogodin o Austryi i Rosyi. „Prawdziwi“ Rosyanie wobec aneksyi).

Gdy cała prasa rosyjska, zarówno nacyonalistyczna, jak i liberalna, rezultat zatargu bałkańskiego uważa za porażkę Rosyi — jedynie urzędowa »Rosija« — która nawiasem mówiąc bardzo długo zwlekała z zajęciem w tej sprawie stanowiska — robi »dobrą minę« i stara się dowieść, że Rosya nie uległa presyi Prus i nie sprzeniewierzyła się bynajmniej »zasadom polityki rosyjskiej«.

»W czasie, kiedy rząd niemiecki wystąpił w Petersburgu ze swoją propozycyą — pisze »Rossija« — stosunki między Austrya i Serbią tak były naprężone, że dosyć było nierozważnego słowa lub postępku ze strony Serbii, by wywołać starcie zbrojne pomiędzy nią i sąsiednią monarchią — starcie, które nietylko byłoby zgubnem dla królestwa serbskiego, lecz mogłoby doprowadzić do zatargu ogólno-europejskiego«.

»Wskutek tego — ciągnie dalej »Rossija« — gabinet berliński wystąpił z planem, który według przekonania posła niemieckiego w Petersburgu pozwalał wyjść z niebezpiecznej pozycyi, nie obalając zasad (!), będących podstawą polityki rosyjskiej. W tym celu Niemcy zaproponowały nakłonić Austryę, by się zwróciła do mocarstw o wyjednanie ich zgody na zniesienie artykułu 25 traktatu berlińskiego, drogą wymiany not dyplomatycznych. Przytem poseł niemiecki oświadczył, że gdyby przyjacielskie pośrednictwo Niemiec nie mogło być przychylnie przyjęte przez Rosyę, to Niemcy będą zmuszone pozostawić swojej sojuszniczce wybór środków, wywołanych okolicznościami«.

To ma znaczyć, według organu Stołypina, że Niemcy nie wywierały żadnego nacisku na rosyjskie ministeryum spraw zagranicznych. To nie było ultitmatum, tylko „przyjacielska rada“, że Rosya powinna spełnić wolę Niemiec i Austryi, gdyż inaczej on nie ręczy za następstwa.

»Taki język — czyni z tego powodu uwagę »Now. Wr.« — z punktu zapatrywania naszego wydziału dyplomatycznego znamionuje „ton przyjacielski sąsiedniego mocarstwa“. Ciekawa rzecz, jakiego rodzaju mowę nasza dyplomacya uzna za bardziej gburowato wyrażony nacisk, jeżeli w ultimatum, grożącem wojną, widzi ona tylko przyjacielską rozmowę?“

---

PIOTR DECOURCELLE.

## FATALNY MILION.

59)

— Słuchaj Lucyne — rzekł zachowując zawsze ów dawny poufały ton. Nie przychodziło mi widocznie na myśl, że pani Lydya d'Apremont, przedmiot uwielbienia najwykwintniejszej młodzieży, może mu przecież mieć za złe podobną bezceremonialność. — Przyjechałem tu przed tygodniem, dla załatwienia pewnych spraw kolonialnych. Otóż parę dni temu, stojąc przed ministeryum zobaczyłem cię nagle przejeżdżającą i poznałem cię odrazu, pomimo niektórych zmienionych szczegółów. Przyjaciel, z którym właśnie rozmawiałem, udzielił mi twego adresu i powiedział jakie nosisz obecnie nazwisko i oto jestem. Usłyszawszy to Lucyna uczuła nagłą gorycz.

— I zapewne pragnąłeś pan powinszować mi mego świetnego stanowiska i pochwalić za dobrze użytą młodość.

— Nie, nie Lucyno — przerwał jej żywo — nie mów do mnie takim tonem. Choćbyś mnie obsypała najbardziej gorzkimi wyrzutami, nie dorównują one nigdy tym, jakie sam sobie robiłem po stokroć razy. Mógłbym może przytoczyć na swoją obronę okoliczności łagodzące. Byłem młody, nieświadomy, ambitny, zdawało mi się, że tak wiele potrafię dokazać. Zdawało mi się, że rozłączenie z tobą, to ofiara, to bohaterstwo, którego wymaga odemnie nauka, dobra mego kraju.

— Czy byłeś przynajmniej szczęśliwy? — spytała Lucyna.

— Nigdy — ani chwili. Nawet powodzenia moje zostawiły mi tyle niesmaku, goryczy, tyle rozczarowań. Przytem nic dla serca.

— A żona twoja?

— Ona także nie była szczęśliwą, zawiodła się na mnie. Zdawało się jej, że mieć będzie w ręku uległe narzędzie, serce miękkie jak wosk, które naginać się będzie posłusznie do romantycznych jej zachcianek. Dużo było między nami gwałtownych, ciężkich przyjść, zanim drogi nasze rozeszły się, zanim otrząsnąłem z siebie ciężar złota, który mnie do niej przykuwał.

Lucyna słuchała nie przerywając; na wspomnienie o Lydyi Satrapof wezbrał w niej głuchy gniew i uczucie jadowitej zazdrości. — Chociażby nawet słowa Henryka były prawdą, chociażby rzeczywiście nie kochał nigdy przewrotnej tej chytrej cudzoziemki, która owładnęła nim tak podstępnie, to w każdym razie kobieta ta posiadała go w okresie najpiękniejszym jego młodości, odkradła go jej, niwecząc na zawsze czyste niezamącone niczem ich szczęście. Mimo to pragnęła gorąco dowiedzieć się, jaki stosunek łączył jeszcze teraz tych dwoje. Nie śmiała przecież o to zapytać. — Henryk Dunel mówił dalej.

— Tam, w głębi tej Afryki, o której marzyłem od lat chłopięcych, zrozumiałem dopiero jak nikczemnym był mój postępek. Zrozumiałem za późno, że pracując jako prosty szeregowiec, z twoją dzielną uczciwą pomocą, byłbym stokroć pożyteczniejszy i bardziej zasłużony, niż dziś na stanowisku naczelnem, na które pchnęła mnie żądza sławy. Nie miałem zamiaru nigdy już wracać do kraju, nie chciałem znaleść się znowu w tych miejscach, gdzie złamałem twoje i swoje życie.

— Moje złamałeś bez wątpienia, szepnęła cicho Lucyna, a wielkie łzy spływały po jej twarzy.

— Ty płaczesz?

— Płaczę Henryku, na myśl o tem co być mogło, a co już nigdy nie wróci.

— Gdybyś jednak chciała, rzekł Henryk Dunel ujmując jej rękę, moglibyśmy może jeszcze odnaleść coś z naszej przeszłości.

— Jakto? A żona twoja?

— Żona moja umarła.

— Co mówisz?

— Umarła przed dwoma laty. Przed śmiercią napisała do mnie list długi pełen bolesnych wyrzutów, rzucając mi jakby na urągowisko imię twoje. — Wiedziała przecież lepiej niż kto inny, że są krzywdy, których się nie zapomina, że możesz czuć dziś dla mnie tylko nienawiść.

— Nie Henryku, nie mam do ciebie nienawiści — ale widzisz to co innego. — Czy ty wiesz jak ja żyłam przez ten czas? — Czy wiesz, że własnemi rękami wykopałam pomiędzy nami przepaść, którą już nic nie wypełni.

— Lucyno! odparł jej na to poważnie i stanowczo. Ja tu jestem stokroć bardziej od ciebie winnym, kto wie nawet, czy nie jedynie winnym. — Nic na świecie nie dzieje się przypadkowe, gdyby nie moja haniebna zdrada, życie twoje byłoby przecież inne.

— Nie, nie, wina moja jest daleko cięższa od twojej, a zresztą stało się już. Czyż możesz dziś, czy masz prawo połączyć nieskazitelne twoje imię z mojem?

— Popatrz mi w oczy Lucyno, tak jak dawniej. Jeżeli naprawdę zostało coś jeszcze dla mnie w sercu twojem, to... zostań moją żoną.

— Tybyś chciał?

— Tak samo, więcej może niż przed laty. Dziś oddając mi swoją rękę, nie tylko dasz mi szczęście, ale przywrócisz mi spokój. Za dwa dni wyjeżdżam do Bordeaux, za dwa tygodnie będę już na wybrzeżach Afryki, za dwa miesiące powrócę do na wpół dzikiego kraju, z którym związane jest życie moje i przyszłość. Jeżeli się nie boisz tego pustkowia, niewygód, dzikości — jedź tam ze mną.

Patrzyła na niego rozszerzonemi źrenicami, ale z ust jej żadna nie padła odpowiedź.

— Boisz się? — spytał z niepokojem — przestrasza cię to życie w nowych a tak odmiennych warunkach. Bo uprzedzam cię, że nigdy już nie powrócimy do Francyi.

— Boję się — odparła — nie przyszłości, nie życia z tobą, ale przeszłości, która nas dzieli, ale teraźniejszości, którą ty może jeszcze nie pojmujesz.

— Zapomnisz o niej, skoro zostawisz ją za sobą i znajdziesz się o tysiące mil stąd.

— Henryku! zapytała jeszcze, patrząc mu głęboko w oczy, więc naprawdę chciałbyś?...

— Popełniłem nikczemność, rzucając cię niegdyś, więcej jeszcze, bo zbrodnię i to sam na sobie. Pozwól mi złe naprawić, pozwól mi odbudować na nowo życie nasze, nie odmawiaj.

Wziął obie jej ręce i podniósł je do ust, tkliwie z szacunkiem, tak jak niegdyś, gdy była jego narzeczoną.

— Więc zgadzasz się i odjedziesz ze mną? — pytał.

Ale pani d'Apremont nie chciała poddać się radosnemu upojeniu, które ją ogarniało.

— Nie, nie! — odrzekła — nie tak nagle. Muszę się wpierw namyślić, muszę sama siebie zrozumieć.

— Więc mnie już nie kochasz?

— Właśnie dlatego że cię kocham, przekonać się muszę wpierw, czy i dziś nawet, po wszystkiem co między nami zaszło, potrafię jeszcze dać ci szczęście.

— Dawniej nie miałaś takich wątpliwości.

— Dawniej... — Tyle tłumionego bolu brzmiało w tej odpowiedzi, że Dunel nie śmiał dłużej nalegać.

— Kiedy miałeś wyjeżdżać? — spytała go po chwili pani d'Apremont.

— Pojutrze.

— Nie zmieniaj więc nic w swoich projektach, nie oglądaj się na mnie; a ja ci przysięgam, że o ile zdam sobie sprawę z własnych uczuć i uwierzę uczciwie, szczerze, sama przed sobą w możliwość naszego wspólnego życia, znajdziesz mnie przy sobie w chwili odjazdu — spotkamy się wtedy na dworcu.

— Poco, poco ta zwłoka? zawołał żywo Dunel. Możesz przecie opuścić natychmiast ten dom i pójść ze mną, nie zabierając z sobą nic, coby ci mogło przypomnieć dawne twoje życie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Świetną odprawę napaściom prasy rosyjskiej na Słowian austryackich i Polaków daje w ostatnim zeszycie »Moskiewsk. Jeżeniedielnika« znany prof. A. Pogodin. Jak wiadomo nie tylko dzienniki nacyonalistyczne, ale i liberalne wytykały Słowianom austryackim, a w szczególności Polakom, iż »zdradzili sztandar słowiański«, nie chcąc przyłączyć się do antiaustryackiego chóru prasy rosyjskiej, piętnującej z powodu aneksyi Bośni „rozbój i gwałty“ austryackie. Na to dziwne zaślepienie odpowiada wybitny uczony i publicysta rosyjski:

„Austrya wcześniej lub później da sobie radę ze swemi wewnętrznemi bolączkami; Wiedeń zrozumie, że poza nadaniem równouprawnienia i autonomii swoim poddanym słowiańskim, poza przeniesieniem spraw miejscowych do sejmów autonomicznych — niema wyjścia i zbawienia. Czy zrozumie jednak Petersburg, że my nie możemy mówić o polityce słowiańskiej, kiedy u nas w domu nasi Słowianie słyszą tylko urągania i widzą tylko krzywdy, wyrządzane ich poczuciu godności narodowej, **kiedy Polak, nie mający w Rosyi uniwersytetu, ze czcią udaje się do Krakowa na naukę** i błogosławi tak obcą dla nas Austryę, za jej tolerancyę względem jego języka, kiedy Małorusin znajduje urzędowe uznanie jego narodowości w Galicyi, tej samej Galicyi, która mogła należeć do Rosyi, lecz, na swoje szczęście, dostała się pod niemiecką Austryę; wtedy ręka, z gniewem podjęta na Austryę, opada bezsilnie, a na ustach zamiera wyrzut, skierowany do naszych braci w Austryi za to, że w takiej chwili dali pierwszeństwo swoim dążeniom austryackim przed słowiańskiemi, jak odczuwamy je my, Rosyanie“.

Gdy wszystkie odłamy społeczeństwa rosyjskiego, od konserwatywnych do najradykalniejszych, oburzają się na min. Izwolskiego za porażkę rosyjską w zatargu bałkańskim, jedynie »prawdziwi« Rosyanie pochwalają ustępstwa Rosyi!

„Chłop rosyjski — pisze organ Związku narodu rosyjskiego, »Russkoje Znamia« — wcale nie korzysta z tego systemu życia, jakiem żyje Bośniak, Bułgar i Serb, którego rzekomo gnębi Niemiec. Ani Polacy, ani Czesi i Chorwaci wcale do oderwania się od Austryi nie dążą. To znaczy, że im tam jest nieźle. Poćóż więc gwałtem pozbawiać ich szczęścia?“

Inny organ »istinno-ruski« — »Kołokoł« podobnie optymistycznie ocenia sytuacyę, lecz z innego punktu. „Wojować tylko dlatego — pisze — że ktoś zamiast słowa „okupacya“ użył wyrażenia »aneksya« byłoby poprostu awanturowaniem się i ta krew, którąby w tej wojnie została przelana, spadłaby na głowę rządu, któryby do walki dopuścił“.

W każdym razie, jak na „istinno-ruskich“ obłąkańców jest to pogląd bardzo trzeźwy...

## Akcya ratunkowa

### dla ludności dotkniętej klęskami elementarnemi.

Onegdaj, jak już krótko donieśliśmy, odbyło się we Lwowie posiedzenie, zdaje się ostatnie, Komitetu ratunkowego, zorganizowanego w roku ubiegłym celem niesienia pomocy ludności całego kraju, dotkniętej klęskami elementarnemi ulewnych deszczów i powodzi, które spustoszyły kraj cały, wyrządzając wedle mniej więcej ścisłych obliczeń szkodę na 380 milionów koron jedynie w płodach rolniczych, nie licząc innych szkód, jak popsucie dróg, mostów i t. d.

Komitet ratunkowy na ostatniem posiedzeniu — jak doniosła »Gazeta Lwowska« — zamknął swoją działalność, uważając ją widocznie za skończoną. Nie od rzeczy przeto będzie zwrócić na nią uwagę i uwydatnić niektóre jej momenty.

Komitet, zostający pod kierownictwem namiestnika Dra Bobrzyńskiego, rozporządzał funduszami wyasygnowanymi na cele zapomóg ludności przez skarb państwa.

Rząd wyznaczył: na zasiewy ozimin 1,000.000 koron, na zakupno paszy 450.000 koron, na zasiewy 1,500.000 koron, na pożyczki bezprocentowe 600.000 koron; ogółem 2,950.000 koron zapomogi i 600.000 koron bezprocentowej pożyczki. Zapomoga rządowa wynosiła zaledwie 1 procent wyrządzonych przez klęski elementarne szkód w płodach rolniczych. Była więc minimalną, a w stosunku do zapomóg, jakie otrzymały inne kraje, Galicya, jak zawsze, została skrzywdzoną.

Suma ta nie mogła naturalnie zadowowolić ogółu, nie zadowoliła też nawet zwykle ze wszystkiego co rząd robi zadowolonych konserwatystów. To też kiedy zebrał się Sejm krajowy, wszystkie stronnictwa wystąpiły z wnioskami nagłymi, domagając się wydatniejszej pomocy od państwa. Po krótkich stosunkowo debatach uchwalił Sejm 1 milion koron zapomogi od kraju i wezwał rząd, aby pospieszył z 5 milionową zapomogą dodatkową. Razem domagał się Sejm od rządu 10 milionów koron.

Dotychczas wszystko było w porządku. Licho jednak przyniosło zatargi polityczne, wywołane aneksyą Bośni. Cała uwaga opinii publicznej skupiła się około wypadków na Bałkanie i w czasie tego widocznie zapomniano o powziętych przez Sejm uchwałach, które aż do marca br. leżały spokojnie w Wiedniu i w Wydziale krajowym, niezałatwione. Tymczasem rząd wypróżnił kasy państwowe na cele militarne, a kiedy niektórzy z posłów z Koła polskiego i Wydział krajowy domagać się zaczęli załatwienia uchwał sejmowych — rząd oświadczył, że niema pieniędzy na zapomogi, ponieważ wydał je na zbrojenia i zaprowiantowanie armii. Ostatecznie wyasygnował jeszcze 750·000 koron na przywrócenie komunikacyi powiatowych i gminnych i podobno wedle doniesienia organu p. Stapińskiego, 600.000 kor. na budowę nowych dróg i drobne melioracye, która to kwota nie jest jeszcze rozdzielona, ale pozostaje w rękach Wydziału krajowego. Wedle tych relacyi zamiast żądanych 5 milionów dodatkowej zapomogi, otrzymał nasz kraj 1 milion 250 tysięcy.

I na tem wszystko się skończyło. O 5 milionowej bezprocentowej pożyczce ani słychać. Że sprawa taki obrót wzięła, za to znaczną winę ponosi tutaj Koło polskie, a szczególnie posłowie ludowi, którzy sprawy dostatecznie nie dopilnowali. Koło polskie wiedziało o tem, że rząd pieniądze wydaje na zbrojenia i równocześnie wiedziało o tem, że od tego jest zależną asygnata na cele zapomóg ludności, a jednak nic albo niewiele robiło, żeby faktycznie poważniejszą jeszcze sumę dla kraju wydobyć. A już na komedyę zakrawa to, co niektórzy posłowie czynią dla pokrycia swej winy: Otóż wzywają lud, ażeby przysyłał im do Wiednia petycyę w sprawie zapomóg, jakkolwiek wiedzą, że rząd już żadnej dalszej zapomogi nie da. I po za tem jeszcze tkwi w tej sprawie niejedna tajemnica i to właśnie czyni ją podejrzaną. W żadnym organie stronnictw w Kole Polskiem reprezentowanych nie znaleźliśmy dotychczas należytego jej wyświetlenia. A jednak wyjaśnienia jej musimy się domagać.

W następnym artykule poddamy rzeczowej krytyce sprawozdanie Komitetu ratunkowego i praktyk przy udzielaniu zapomóg.

## S. p.

## Helena Modrzejewska-Chłapowska.

Helena Bendówna córka i siostra zasłużonych artystów teatru polskiego, urodziła się w roku 1840 w jednem z miast prowincyonalnych Galicyi, podczas przejazdu wędrownej trupy, do której należała jej matka. Młodość swoją przepędziła przeważnie w Krakowie, gdzie mieszkała jej rodzina. Według ustnej tradycyi, miała nawet przez pewien czas zarabiać na życie w ten sposób, że była zajęta w kawiarni Aleksandrowej przy teraźniejszej ulicy Kopernika. W każdym razie pewnem jest, że w dostatki nie opływała i miała początki karyery dość ciężkie. Jej uderzająca uroda i wrodzona dystynkcya, zwróciły na nią wcześnie uwagę przedsiębiorców teatralnych, zwłaszcza, że stosunki rodzinne Bendówny, tak ściśle ją wiązały ze światem teatralnym. Niebawem też wstąpiła do trupy Łobojki i objeżdżała z nim Galicyę, występując przeważnie w operetkach, wodewilach i farsach. W tym skromnym zakresie zdołała się wybić i w roku 1862 została zaangażowana do teatru lwowskiego, gdzie jednak pozostawała bardzo krótko. Brat jej, Józef Bendy, utworzył własne towarzystwo i zabrał siostrę do Czerniowiec, które były wówczas polsko-żydowską mieściną. Tam przez 3 lata występowała późniejsza gwiazda sceny warszawskiej jako subretka i naiwna, z powodzeniem coraz to rosnącem. Kiedy Adam Skorupka obejmował dyrekcyę teatru krakowskiego, rozpoczynając nową świetną erę tej sceny, szukał młodych sił dla sformowania swojej trupy i między innymi zaangażował Bendównę wówczas już Modrzejewską. Pobyt w Krakowie był dla genialnej artystki epoką głównego rozwoju jej talentu; pod inteligentnem kierownictwem, w otoczeniu wyborowem, Modrzejewska prędko opanowała techniczną stronę sztuki aktorskiej, a niepospolite zdolności pozwoliły jej zrozumieć i opanować powierzane role.

Prędko też sięgnęła po nią pierwsza scena polska i Modrzejewska znalazła się w Warszawie na scenie teatru Rozmaitości, który zgromadził wówczas zespół nieporównanych artystów. Dość wymienić nazwiska: Królikowskiego, Żółkowskiego, Rapackiego, zapisane złotemi literami na kartach historyi teatru polskiego, aby ocenić należycie powodzenie Modrzejewskiej. Stała się ona wnet ulubienicą Warszawy, która ją uwielbiała jako kobietę i jak artystkę z tym ekspanzywnym zapałem, który charakteryzuje publiczność warszawską. Jej Julia z dramatu Szekspira,—Aniela z Ślubów panieńskich, Amelia w Mazepie, — były to kreacye w wielkim stylu, w których nadzwyczaj misterna gra łączyła się z nadzwyczajnym sentymentem. Modrzejewska pracowała dużo nad sobą, poznała wybornie literaturę dramatyczną angielską, a zwłaszcza Szekspira i ona dopiero wprowadziła na dobre mistrza dramatu na sceny polskie. Jej zawdzięczamy Julię, Ofelię, lady Mackbet i bohaterki szekspirowskich komedyi które odtwarzała z takim wdziękiem i z taką wytwornością.

Smutne stosunki polityczne Królestwa Polskiego oddziałały także na karyerę Modrzejewskiej. Krępowana ciągle przez cenzurę i przez niekulturalną dyrekcyę teatrów rządowych — przytem ambitna i żądna sławy, porzuciła znakomita artystka scenę warszawską i wraz z mężem swoim p. Karolem Chłapowskim odjechała do Ameryki, gdzie wyuczywszy się doskonale języka angielskiego, zaczęła występować w teatrze w San Francisco. Zdobywszy sobie i tam sławę jako najlepsza interpretatorka Szekspira, objeżdżała przez wiele lat sceny amerykańskie z coraz to rosnącem powodzeniem. Debiut jej w kalifornijskiej stolicy opisał bardzo ładnie Henryk Sienkiewicz.

Z Ameryki robiła często wycieczki do Europy. Ostatni raz widzieliśmy ją w roku 1903 w Krakowie, odtwarzającą wspaniale »Warszawiankę« i »Laodamię« Wyspiańskiego.

Była to istotnie artystka wysokiej miary, wielka mistrzyni słowa, pełna dobrego smaku i wykwintu. Z trzech słynnych współczesnych aktorek: (Sara Bernardt i Duse) miała może najwięcej Modrzejewska rozwinięte poczucie estetyki i najlepiej wyrobioną kulturę aktorską.

Żałować należy, że zbyt wcześnie zeszła ze sceny polskiej, przerywając tradycye gry wielkiego stylu i wyjątkowego wdzięku.



# KRONIKA.

KALENDARZYK KOŚCIELNY. Jutro w Wielką Niedzielę Leona papieża; pojutrze w poniedziałek Wielkanocny Teodora.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY. Wschód słońca rozpocznie się jutro o godzinie 5 minut 15; zachód przypada o godz. 6 minut 6, długość dnia godzin 13 minut 4.

**Kraków**, dnia 10 kwietnia.

**Wesołego Alleluja!** Wszystkim P. T. Prenumeratorom, Czytelnikom, Współpracownikom, Korespondentom i Przyjaciołom naszego pisma, zasyłamy serdeczne życzenia Wesołych Świąt!

*Wydawnictwo i Redakcya.*

**Od wydawnictwa.** Z powodu uroczystych świąt Wielkanocnych, najbliższy numer „Głosu Narodu“ wyjdzie we wtorek dnia 13 bm. o godzinie 8 rano.

**Nabożeństwa wielkanocne w katedrze na Wawelu.** Resurekcya w katedrze na Wawelu odbędzie się o godzinie 6 wieczorem w sobotę.

Sumę w Wielkanoc odprawi X. biskup Anatol Nowak, kazanie wypowie X. Dr Józef Kaczmarczyk.

W poniedziałek świąteczny sumę odprawi X. kan. Józafat Sobierajski, kazanie wypowie X. Zygmunt Kulig.

**W przeddzień inauguracyi sceny ludowej.** Teatr ludowy wchodzi z dniem jutrzejszym w nową fazę: na czele jego staje człowiek i artysta tej miary jak E. Rygier.

W niedzielę Wielkanocną nastąpi uroczyste otwarcie »Teatru ludowego« w odnowionym i odświętnie przybranym budynku.

Chwilę tę witamy z radością, gdyż uważamy ją jako pierwszy krok naprzód w rozwoju sceny ludowej, jako zbliżenie się do jej zadań i celów.

W osobie dyr. Rygiera widzimy i mamy pełną gwarancyę, że odpowie on godnie swemu obowiązkowi wobec społeczeństwa, i że od tej chwili teatr ludowy stanie się naprawdę szkołą życia dla klas nie mających dostępu do miejskiego Teatru, dostarczając im równocześnie miłej rozrywki.

Mamy nadzieję, że i publiczność odrazu zrozumie ważność tej chwili i że usilnie starać się będzie o poparcie i rozwój tak pożytecznej instytucyi.

Już sam program poniżej podany, a złożony z najcelniejszych naszych sztuk dostatecznie przemawia za dyr. Rygierem i ilustruje dokładnie jego cel i drogę doń wiodącą.

Na program jutrzejszego wieczoru złożą się: „Kantata“ kompozycyi znanego muzyka p. Świeżyńskiego. „Credo“ wygłoszone przez dyrektora. Następnie odegrane zostaną utwory Blizińskiego, Asnyka i Anczyca-Lasoty, którzy się wielce przyczynili do rozwoju oświaty naszego ludu.

Drugie Święto poświęcone jest również naszym autorom, a mianowicie M. Bałuckiemu, którego „Niewolnice z Pipidówki“ zaliczają do jego najlepszych komedyi, oraz Z. Przybylskiemu, którego »Pracownice igły“ są znakomitym wodewilem.

Zwracamy uwagę, że przedstawienia stale rozpoczynać się będą punktualnie o godzinie wpół do 8-mej wieczorem.

**Tramwaj krakowski** przestaje kursować dziś popołudniu o godzinie 5, przerwa ta zaś trwać będzie do jutra, t. j. Wielkiej Niedzieli godziny 12 w południe.

**Pogoda** na święta nie zapowiada się pomyślna. Od kilku dni niebo mocno zachmurzone, wczoraj zaś niemal cały dzień padał dość gęsty deszcz. Dziś wprawdzie deszcz ustał, lecz zimno i ponury firmament nie wróżą zmiany na lepsze.

**Prezydent miasta** Dr Juliusz Leo, wyjechał dziś na Święta do swej rodziny. Do Krakowa powraca prezydent we czwartek.

**Z krakowskiego świata muzycznego.** Dwaj artyści-muzycy krakowscy, p. Karol Skarżyński, wiolonczelista, prof. tutejszego konserwatoryum, tudzież p. Stanisław Bursa, zaszczytnie znany śpiewak estradowy i nauczyciel śpiewu, odbyli większe tournee koncertowe po miastach Wielkopolski i Kujaw. Przyjmowano naszych muzyków serdecznie i gorąco, darząc oklaskami i wieńcami, tudzież uznaniem, jakiem nie wielu artystów poszczycić się może. Pisma wielkopolskie wyrażają się o produkcyach naszych artystów nader pochlebnie. Dziennik kujawski tak pisze o grze prof. Skarżyńskiego: „P. Skarżyński obdarzył nas szeregiem utworów, z pośród których wyróżniły się własne jego kompozycye, a to „Kołysanka i Melodya“. Artysta czując się w nich sobą, przedstawił się nam dopiero we właściwem świetle“. Poza tem podnosi referent tego pisma, doskonałą technikę i zupełne owładnięcie instrumentem.

O produkcyach prof. Bursy pisze dziennik kujawski: „Utwory czysto polskie śpiewał p. Bursa, wlewając w nie tyle prawdy i naturalności i wydobywając z prostotą łagodne tony, które tworzyły pieśń pełną wdzięku. Głos p. Bursy odznacza się czystością tonu i doskonałą szkołą“. Artystom krakowskim towarzyła jako akompaniatorka p. Marya Bursowa, której prasa wielkopolska nie szczędziła słów uznania.

**Z Instytutu muzycznego.** Czwarty wieczór kameralny odbędzie się dnia 20 b. m. Wieczór ten poświęcony jest setnej rocznicy zgonu Józefa Haydna i cały program wypełnią utwory tegoż mistrza. Bilety o dnia 13 bm. począwszy nabywać można w kancelaryi Instytutu muzycznego (ul. Gołębia l. 14) od godziny 12—1 i od 4—6.

Wieczór Haydnowski, jak wogóle wszystkie następne wieczory kameralne odbywać się będą odtąd w lokalu „Klubu prawników i Koła art. literackiego,“ nie zaś jak dotąd w salach „Instytutu muzycznego.“ Inowacyę tę wprowadza Instytut muzyczny, ze względu na szczupłość lokalu własnego — gdzie tylko ograniczona liczba słuchaczów mogła się znajdować.

**Czterdziesta trzecia wystawa** Feliksa Jasieńskiego otwartą zostanie dnia 13 b. m. (wtorek), w gmachu Towarzystwa technicznego przy plantach (ul. Podwale). Wystawioną będzie kolekcya pięknych, starożytnych ornatów oraz szalów różnego rodzaju. Zwiedzać można wystawę w czasie od godziny 9 do 1 i od 3—7 codziennie.

**Tow. filozoficzne w Krakowie.** Piewsze Walne Zgromadzenie Towarzystwa odbędzie się dn. 28 b. m. o godz. 5 popoł. w sali Seminaryum filoz. przy ulicy św. Anny 12, na dole, z następującym porządkiem: 1) Zagajenie przez prof. M. Straszewskiego, 2) Sprawozdanie z działalności Komitetu organizacyjnego, przez Dra K. Lubeckiego, 3) Wybory: a) prezesa, b) Wydziału, c) Komitetu redakcyjnego, d) Komisyi rewizyjnej, 4) Wnioski i interpelacye.

**W dodatku literackim** zamieszczamy dwa wdzięczne wierszyki znanego pieśniarza wiejskiego Jantka z Bugaja.

**Z Izby rękodzielniczej.** Izba rękodzielnicza na posiedzeniu odbytem w dniu 6 kwietnia br. uchwaliła zwrócić się do dyrekcyi Banku krajowego we Lwowie, aby założona Spółka fakturowa w Krakowie przy pomocy tego Banku, który udziela zaliczek na rachunki za odstawione roboty lub towary, udzielała również zaliczek dla rękodzielników i przemysłowców na pewne obstalunki, gdyż tylko przy takiej pomocy kredytowej może Spółka przynieść materyalną korzyść i ułatwić rękodzielnikom podjęcie większych obstalunków i przyjść z należytą pomocą kredytową.

Następnie uchwalono wiele spraw z powodu budowy „Domu rękodzielniczego.“ Przy tej sposobności zdeklarowano następujące kwoty na budowę domu, a mianowicie:

Pp. Woroniecki Mikołaj 100 k., Jachimowicz Stanisław 100 k., Kwiatkowski Roman 100 k., Karnasiewicz Tomasz 100 k., Wójcik Karol 100 k., Splichal Józef 100 k., Cekiera Piotr 100 k., a nadto pp.: Cekiera Piotr robót kamieniarskich za kwotę 200 k., oraz Jachimowicz Józef robót malarskich za 100 k. Towarzystwo kredytowe rękodzielników i przemysłowców w Krakowie zdeklarowało kwotę 200 kor.

**Zastanowienie ruchu.** Rosyjskie koleje Nadwiślańskie zastanowiły wskutek przepełnienia towarowych magazynów w Granicy ruch towarowy do „Granicy kolej Nadwiślańskiej“ loco.

Z powodu tego zastanowiła także dyrekcya kolei Północnej ruch towarowy na swych liniach do „Granicy kolej Nadwiślańska“ loco.

Z powodu powodzi na szlaku Garbatka-Iwangoród kolei Nadwiślańskich zastanowiono również przyjmowanie towarów dla stacyi za Garbatką do przewozu przez Granicę kolej Nadwiślańska-Iwangorod.

**Fotoplastikon** mieszczący się przy ul. Grodzkiej pod l. 9, na parterze, przeszedł w tych dniach w ręce chrześcijańskie. Nabyła go od dotychczasowej właścicielki Żydówki, p. Kamila Jaremkiewicz, która też zamierza zastosować w owem przedsiębiorstwie ostatni wyraz techniki tej dziedziny. Mimo to w udostępnieniu Fotoplastikonu dla publiczności nie nastąpi dłuższa przerwa, gdyż już z dniem jutrzejszym zostaje na nowo otwarty. Serya obrazów przedstawiać będzie „Wielkie ćwiczenia wojsk szwajcarskich w r. 1908.“ Serya ta dotąd nigdzie nie widziana, trwać będzie przez tydzień, t. j. do dnia 17 b. m.

**Co to jest Żyd galicyjski?** Ciekawym w swoim rodzaju dla fizyologa-historyka, mającego zamiar napisać kiedyś monografię Żydów na początku XX. wieku w Galicyi, stanowić będzie bezsprzecznie niżej podany, oryginalny list Żydka łańcuckiego, przesłany administracyi pisma naszego.

Typowy ten list może się stać niecenionym przyczynkiem do ilustracyi psychologii ówczesnego Żydka galicyjskiego, jego kultury, wreszcie charakteru społecznego pod względem etycznym.

Żydek ów nazywa się Naftali Hellmann, z Łańcuta, posiada „Spielwarenhandlung“ i pisze na „Correspondenzkarte“ specyalnie dla siebie i wyłącznie po niemiecku drukowanej. Adresuje następująco: „An Administrazion (pisownię zachowujemy wiernie) Gloss Krakau“. Bitte mier zu szreiben, was Eier ein Rabat sie geben fon ihrs blates. So fire des an! Gleich antwort. Hoch achtend N. Hellmann, Łańcut, den 9 April 1909“.

O kulturze jego mówi najlepiej ów żydowsko-niemiecki żargon w pisowni niewiadomo jakiej. O wartości społeczno-etycznej i uświadomieniu społecznem świadczy bezczelność pisania w polskim kraju do polskiej rekakcyi po niemiecku — no i do tego do t. zw. organu „antysemickiego“. Jakkolwiek bowiem nim nie jesteśmy — i właśnie tylko dzięki takim osobnikom, jak ów Żydek łańcucki — pragniemy rozwiązać kwestyę żydowską ze stanowiska narodowego — to jednak w ich mniemaniu, którzy, mimo posługiwania się germańską żydowszczyzną, zrozumienia tego nie mają, czy nie chcą mieć — za taki uchodzimy.

**Śmierć skutkiem opilstwa.** Wyrobnik ze składu mebli Wetsteina przy ul. Szpitalnej pod l. 5, niesprawdzonego na razie nazwiska, zjawił się wczoraj wieczorem na dziedzińcu domu, gdzie mieści się skład mebli w stanie mocno nietrzeźwym. Nie zwróciło to jednak niczyjej uwagi, gdyż robotnika tego często bardzo widziano pijanego. Kładał się wówczas w podworcu na swe posłanie obok śmietnika i zasypiał. Tak było wczoraj. Dzisiaj rano stróżka domu przechodząc obok śmietnika, zauważyła, że pijany charcze w sposób niezwykły a z ust toczy pianę. Wezwała więc żołnierza policyjnego, ten znów Pogotowie ratunkowe. Dyżurny Pogotowia skonstatował, że zachodzi tu zwykły wypadek opilstwa, więc odmówił przewiezienia robotnika do szpitala. Tymczasem ów charczał coraz silniej, więc policyant zwrócił się do komisarza inspekcyjnego, który ze swej strony zażądał pomocy lekarza obwodowego dra Gólskiego. Gdy jednak lekarz zjawił się na miejscu, skonstatował już tylko śmierć robotnika, spowodowaną nadmiernem użyciem alkoholu.

**Śmiały rabuś.** Augustyn Wajcherek, liczący zaledwie 15 lat, a już mający za sobą wcale pokaźną „przeszłość“ policyjną i kilkakrotnie sądownie karany, korzystając wczoraj z tłoku, panującego podczas targu w Rynku, przystąpił niespodzianie do gospodarza z Balic Józefa Puchały, a wyrwawszy mu siłą zegarek, zaczął uciekać. Przytrzymany w końcu przez żołnierza policyjnego, po dłuższym oporze odprowadzony został do aresztów policyjnych.

**Z kroniki policyjnej.** Wczoraj wieczorem przytrzymała w Jatkach dominikańskich Antoniego Rogodę z Rząsowic, w chwili, gdy na szkodę rzeźnika p. Żaczka ściągał z lady szynkę wartości 25 koron.

Nadto internowano w aresztach policyjnych mełoletnich złodziei: Stefana Siarkowskiego i Wincentego Rubraka, jako sprawców kilku kradzieży kieszonkowych w kościele N. P. Maryi.

W dyrekcyi policyi znajdują się dwa złote pierścionki z brylancikami, jeden z nich emaliowany, znalezione przy podejrzanych kobietach.

# Z Kraju.

**Wystawa warsztatów studenckich we Lwowie.** Przedwczoraj w południe otwartą została we Lwowie wystawa prac warsztatów studenckich. Jest to pierwsza tego rodzaju wystawa w Galicyi a nawet w Austryi. Warsztaty studenckie założone zostały już przed kilku laty w Krakowie z inicyatywy ś. p. Henryka Jordana. We Lwowie powstały one przed kilku miesiącami, staraniem Ligi pomocy przemysłowej. Rezultat prac w tak krótkim okresie czasu jest bardzo dodatni.

Podczas otwarcia wystawy, mowcy: dr. German i dyr. Olszewski zaznaczyli, że przewodnią myślą zakładania warsztatów jest wytworzenie wśród młodzieży szkolnej szacunku dla pracy fizycznej, bo jeśli mamy kraj uprzemysławiać, należy mieć potęgę szermierzy, którzyby szerzyli cześć dla pracy. Reprezentant rady szkolnej kraj. wicepr. dr. Dembowski zapewniał o życzliwości i poparciu Rady szkolnej i władz centralnych, zaznaczając, że nie ma dla oka milszego widoku jak fartuch przy mundurku szkolnym.

Jeżeli istotnie warsztaty studenckie, popierane przez władze i całe społeczeństwo, zatrudnią wielkie rzesze młodzieży szkolnej, wówczas naprawdę rękodzieło nasze dozna większego, niż dotąd, szacunku.

**Zebranie kierowników warsztatów studenckich.** Z inicyatywy Ligi Pomocy przemysłowej i Polskiego Muzeum szkolnego odbędzie się we Lwowie zjazd kierowników nauki pracy ręcznej w zakładach średnich w Galicyi.

Uczestnicy zbiorą się na obrady w lokalu Muzeum szkolnego przy ul. św. Mikołaja dnia 18-go b. m. w niedzielę, o godz. 3-ciej po południu. Przedmiotem obrad będzie omówienie zasadniczych postulatów, których urzeczywistnienie jest niezbędnem dla racyonalnego krzewienia tego tak aktualnego i uspołeczniającego młodzież kierunku wychowania.

Z uwagi na doniosłość celu uprasza Zarząd Muzeum szkolnego i Ligi Pomocy przemysłowej o jak najliczniejszy udział w zjeździe wszystkich pp. profesorów, którzy bądź teoretycznie, bądź praktycznie powyższy kierunek wychowania popierają. Ponieważ nadto jest to pierwsza próba organizacyi tego potęgującego się u nas ruchu, raczą wszyscy z nami współpracujący niniejszą odezwę uważać i za formalne zaproszenie. Liga Pomocy przemysłowej. Polskie Muzeum szkolne.

**Rozprawa przeciw Jarosławowi Monczałowskiemu**, oskarżonemu o szpiegowstwo na rzecz Rosyi, odbędzie się dnia 20 bm. Rozprawa będzie tajna i odbędzie się przed zwykłym trybunałem karnym ze względu na tło rozprawy o szpiegowstwo, przyczem omawiane będą sprawy, które muszą pozostać tajemnicą dla szerszych sfer. Jedynie — jak zwykle przy rozprawach tajnych — będzie wolno oskarżonemu, względnie jego obrońcy wezwać na rozprawę trzech mężów zaufania, którzy mogą być obecni przez cały czas rozprawy.

**Oświęcim.** (Kor. wł.). Jak nam donoszą, dn. 18 b. m. odbędzie się w Oświęcimiu w kościele XX. Salezyanów niebywała tamże dotąd uroczystość udzielenia święceń kapłańskich i dyakonatu niektórym członkom Zgromadzenia Salezyańskiego przez X. Anatola Nowaka, biskupa-sufragana krakowskiego.

Święcenia otrzymają: Symior Antoni (Górny Śląsk), Wiertelak Piotr z Łąkociny (W. Ks. Poznańskie), Juraszek Jan z Dembia (Górny Śląsk).

Na uroczystość tę zapraszają XX. Salezyanie wszystkich pomocników i wielbicieli dzieł X. Bosko.

**Krzeszowice.** (Kor. wł.). Staraniem miejscowego Koła „Straży Polskiej“ w Krzeszowicach, odbędzie się w sali tamtejszej Rady gminnej d. 12 kwietnia b. r. (poniedziałek Wielkanocny) wykład p. Dra Wróbla na temat: „O potędze zjednoczenia na polu gospodarczem“.

Następnie przedstawione będą w obrazach świetlnych pamiątki naszej przeszłości i ważne chwile z dziejów naszych, jak: portrety królów polskich, grobowiec Kazimierza Wielkiego, Kopiec Kościuszki, epizody z powstania 1813 r., wóz Drzymały i wiele innych. Zakończy prezes „Eleuteryi“ krakowskiej p. Stączek na temat: „O szkodliwości alkoholu“.

Początek o godz. 6. Czysty dochód przeznaczony na rzecz krzeszowickiego Koła „Straży Polskiej“.

**Świętokradzcy przed sądem.** Z Rzeszowa donoszą: Przed tutejszym sądem przysięgłych przeprowadzoną została w dniach 5 i 6 b. m. rozprawa główna przeciw dwom 18-letnim chłopakom o cały szereg zbrodni, w tem o zbrodnię obrazy religii. Oskarżeni byli Szczepan Kawalec i Jan Dykiel o to, że dnia 11 stycznia br. zakradli się do kościoła w Hyżnem, rozbili skarbonki kościelne, wykradli z nich 5 koron 40 gr., następnie pozapalali 63 świec w kościele, a dobywszy z ołtarza kielich z hostyą, komunikowali się kilkakrotnie, poczem 3 komunikanty włożył Dykiel w papierek z tytoniu i schował do kieszeni i następnie odryglowali drzwi i zostawiwszy wszystkie płonące świece, zatrzasnęli drzwi za sobą i uszli. Przypadek zrządził, że kościelny Józef Szczepański wcześniej niż zwykle, wszedł z lampą nocną do kościoła i ngasił świece oraz palący się już dywan.

Na rozprawie Kawalec przyznał się do winy i opowiedział szczegółowo cały czyn, zaś Dykiel wypierał się, starając się wykazać swoje alibi, co mu się jednak wobec obciążających zeznań

świadków, nie udało. Był jeszcze trzeci wspólnik tych czynów, Stanisław Dykiel, brat Jana, jednak z powodu, że nie ma ukończonych lat 14 życia, pociągniętym zostanie do odpowiedzalności przed sądem powiatowym w Tyczynie.

Na większą część pytań odpowiedziała ława przysięgłych jednogłośnie „tak," tylko na jedno pytanie „nie."Trybunał skazał wobec tego obu oskarżonych na 2 lata ciężkiego więzienia, obostrzonego postem i ciemnicą. Oskarżeni i w ich imieniu rodzice, wyrok przyjęli.

**Bochnia.** W przedostatnim tygodniu wielkiego postu odbyły się u nas rekolekcye dla pań i panów, urządzone staraniem Sodalicyi. Nauk głoszonych przez O. Wnęka T. J. słuchał liczny zastęp tak panów jak i pań. Również do spowiedzi i Komunii św. wielkanocnej przystępowano bardzo licznie.

Dnia 2 bm. odbyło się poświęcenie i otwarcie sklepu chrześcijańskiej Spółki spożywczej. Po odprawionej mszy św. dokonał poświęcenia X. Biliński, prezes Rady nadzorczej. Wieczorem o godz. 6 odbyło się w sali Rady pow. Zgromadzenie członków, na które przybył z Krakowa X. Minkiński, i w dłuższem przemówieniu wyjaśnił członkom, jak mają postępować, aby sklep mógł się rozwijać coraz lepiej. — Zainteresowanie się sprawą Spółki ogólne. Liczba członków rośnie z każdym dniem — w tych kilku dniach przybyło ich około 30 — ruch w sklepie od rana do wieczora ustawiczny, tylko w niedziele i święta sklep przez cały dzień zamknięty, a zarządzeniu temu tylko przyklasnąć należy.

Obok chrześc. Spółki, którą możnaby nazwać ogólną, bo każdy chrześcijanin może do niej należeć, istnieje u nas od stycznia br. także Spółka sanitarna, do której należą tylko górnicy, a która również rozwija się bardzo pomyślnie.

W sobotę odbyło się staraniem Towarzystwa „Sokół" przedstawienie amatorskie: „Damy i Huzary", celem przysporzenia funduszów na budowę nowego gniazda; w niedzielę Palmową staraniem T. S. L. wenta spożywcza, czysty dochód pomnoży fundusze tego Towarzystwa, których tak bardzo potrzebuje.

W tym samym dniu odbył komitet, zajmujący się urządzeniem obchodu ku czci Juliusza Słowackiego, pierwsze posiedzenie. Komitet wybrał kilka sekcyi, które mają pracować w swoim zakresie i przygotować materyał do ostatecznych uchwał całego komitetu.

**Inowrocław w niebezpieczeństwie.** Z Inowrocławia w W. Ks. Poznańskiem telegrafują: »Wczoraj po południu podczas nabożeństwa, wskutek usuwania się ziemi, zawalił się mur w tutejszym kościele katolickim. Kościół i probostwo opróżniono. Strat w ludziach niema. Ziemia dalej się usuwa i zachodzi obawa, iż cały kościół się zawali. Dostępu strzeże wojsko«.

Z wiadomości tej nie wynika, który z kościołów katolickich w tem mieście zagrożony jest katastrofą. Inowrocław posiada ich trzy, mianowicie kościół św. Mikołaja z czasów Władysława Jagiełły, dalej stary kościół Panny Maryi — pochodzacy z XI. wieku, najstarsza może budowla kamienna w Polsce, wreszcie zbudowany dopiero przed 8 laty wspaniały nowy kościół pod tem wezwaniem w stylu romańskim. Przypuszczać należy, że katastrofa ta ma związek z zalewem kopalń soli, jaka znajduje się obok, a częściowo także pod miastem. Kopalnie te dostarczały do niedawna około miliona centnarów soli, obecnie wskutek zalewu ustała w nich praca. Gdyby zawalenie się kościoła tę miało przyczynę, obawiać by się trzeba większych rozmiarów katastrofy. Inowrocław liczy obecnie 25.000 mieszkańców.

# Ze świata.

**Kanonizacye.** W niedziele powielkanocne odbędzie się w kościele św. Piotra w Rzymie szereg kanonizacyi i beatyfikacyi. W niedzielę dnia 18 b. m. nastąpi uroczystość kanonizacyjna Joanny d'Arc przy udziale około 20.000 pielgrzymów francuskich, przybyłych do Rzymu pod przewodnictwem 60 biskupów. Na dzień 25 maja naznaczoną została uroczystość kanonizacyjna Klemensa Maryi Hofbauera.

**Powrót Castra.** Były dyktator Wenezueli pozbawiony przed kilku miesiącami władzy i obwołany banitą, zamierza obecnie wrócić do swej ojczyzny. Na okręcie "Gwadeloupe" wylądował już niedaleko wybrzeży wenezuelskich, na francuskiej wyspie Martynie, należącej do archipelagu małych Antyli. Castro drwi sobie z banicyi i zakazu powrotu i dobrowolnie włazi lwu w pazury, z odwagą godną lepszej sprawy. Już żona jego donna Zoila wylądowała w La Gnaire, a on sam w najbliższych dniach stanąć może w stolicy Wenezueli: Caracas,

Castro nie przeliczył się w swoich planach, jeżeli opiera nadzieję odzyskania władzy w Wenezueli za swej popularności tudzież i na sile swego stronnictwa. Powrót jego wywołał u rządu niesłychane zakłopotanie i obawę. Zaledwie bowiem ten „Napoleon amerykański" stanąłby na lądzie wenezuelskim wybuchłaby niezawodnie rewolucya, która mogłaby usunąć od władzy obecnego prezydenta Gomeza. Dlatego też wysłane przez rząd statki otoczyły okręt Castra i niepozwalają mu zbliżyć się do brzegów Wenezueli. Tak dalece obawia się Gomez popularności Castra.

Z wielu stron odzywają się atoli przypuszczenia, że owa „rewolucya" bezkrwawa, która wypędziła Castra a wyniosła Gomeza, była tylko ukartowaną komedyą między Castrem a Gomezem... Chodzi tu głównie o anulowanie dotychczasowych długów zagranicznych Wenezueli. Dlatego zabawiono się w „rewolucyę" i wypędzono tymczasowo prezydenta, by Wenezuela mogła zaciągnąć nową pożyczkę żyrowaną przez nowy rząd o niezapisanej jeszcze karcie. Następnie Castro miał wrócić i objąć napowrót rządy. Jako na dowód takiego porozumienia, wskazują na okoliczność że jeden z najgorliwszych zwolenników Castra don Jose de Jesus Paul zatrzymał i za obecnej prezydentury Gomeza tekę spraw zagranicznych.

**Trup w kufrze.** Według dziennika rzymskiego „Tribuna", który zajmuje się ze szczególnem zainteresowaniem morderstwem, dokonanem w Rzymie, przy ulicy Frattina, zamordowany byłby niejakim Trachelnickim.

Jeden z rewolucyonistów rosyjskich, zamieszkałych w Rzymie, wyjaśnił redakcyi „Tribuny", iż w styczniu r. b. zebrał się w Liége komitet wykonawczy Stowarzyszenia rewolucyjnego „Wola ludu" i wydał wyrok na trzech ajentów, z których jednym jest Trachelnicki, mający lat 22, urodzony w Łodzi. Z początku brał on udział w ruchu rewolucyjnym w Warszawie i Łodzi. W r. 1906 padły na niego pierwsze podejrzenia zdrady, należał bowiem do tajnej policyi. W październiku 1907 roku Trachelnicki był w Krakowie, potem w Zurychu, w Poznaniu i Paryżu, następnie znów w styczniu r. b. w Krakowie. Dotychczas nie miano o nim wiadomości. — Być więc może, że zabity jest nim właśnie.

**Mianowania i przeniesienia w sądownictwie.** Minister sprawiedliwości nadał sędziom krakowskiego okręgu wyższego sądu: Antoniemu Matusińskiemu posadę sędziego w Bochni, Jerzemu Flatauowi posadę sędziego w Tarnowie i Franciszkowi Parylewiczowi posadę sędziego w Muszynie; dalej przeniósł sędziów Karola Kostkę z Wiśnicza do Bochni, Dra Stanisława Freundera-Freundesberga z Dąbrowy do Jasła, Stanisława Frączkiewicza z Radłowa do Myślenic, Dra Jana Sznurka z Jaworzna do Kęt, Dra Jakóba Lehrfreunda z Mielca do Białej, Juliusza Wiliusza z Radomyśla Wielkiego do Grybowa, Dra Aleksandra Leona Aleksandrowicza z Krościenka do Mielca, Wincentego Dyrnicza z Pilzna do Mielca i Mojżesza Bribrama ze Żmigrodu do Jaworzna. Wkońcu zamianował minister sprawiedliwości sędziami askultantów Józefa Mazurkiewicza dla okręgu krakowskiego sądu wyższego, Władysława Zdzisława Łowczyńskiego dla Milówki, Romana Orłowskiego dla Mielca, Romana Domina dla Pilzna, Dra Teofila Sworzenia dla Krościenka, Dra Emila Franciszka Mecnarowskiego dla Dąbrowy, Józefa Czumę dla Wiśnicza, Dra Michała Steca dla Strzyżowa, Józefa Radonia dla Radłowa i Aleksandra Grzywacza dla Wiśnicza.

## Repertuar teatru miejskiego w Krakowie.

Niedziela o godz. 3 „Moralność pani Dulskiej" — o godzinie 7-ej wieczorem „Noc listopadowa" (po raz 23-ci).

Poniedziałek o godzinie 3 „Kopciuszek", widowisko fantastyczne z tańcami i śpiewami B. Grimma — o godzinie 7 „Car Samozwaniec" Nowaczyńskiego (po raz 32).

Wtorek. „Balladyna", trag. J. Słowackiego (po raz 5).

Środa. „Małgorzatka" Lipschütza i Davis'a (ceny zniżone).

Czwartek. „Król Lear", tragedya w 5 aktach W. Szekspira (pierwszy występ Bolesława Leszczyńskiego).

Piątek. „Mazepa" (drugi występ Bol. Leszczyńskiego).

Sobota. „Złote runo", dramat w 3 aktach Stan. Przybyszewskiego (trzeci występ Bolesława Leszczyńskiego).

Niedziela. „Król Lear" (Czwarty występ B. Leszczyńskiego).

## Repertuar teatru ludowego w Krakowie.

W niedzielę 11 kwietnia o godzinie wpół do 8 wieczorem Przedstawienie Inauguracyjne pod dyrekcyą Edmunda Rygiera: „Kantata", układu M. Świerzyńskiego, wykona pełna orkiestra i chór męski, — „Mąż od biedy", komedya w 1 akcie J. Bliźińskiego, „Kiejstut", tragedya Adama Asnyka, akt V, „Kościuszko pod Racławicami".

Poniedziałek popołudniu o godz. 4 „Pracownice igły", wodewil w 5 aktach Z. Przybylskiego — o godzinie wpół do 8 „Niewolnice z Pipidówki", komedya w 4 aktach M. Bałuckiego.

Wtorek o godz. wpół do 8 „Grochowy wieniec", komedya w 4 aktach ze śpiewami i tańcami M. Małeckiego.



## II-gi Zjazd balneologiczny

urządzony staraniem polsk. Towarzystwa balneologicznego w Krakowie odbędzie się w dniach 23-go i 24-go kwietnia r. b. w Krakowie z następującym programem:

We czwartek dnia 22-go kwietnia o godzinie 8-mej wieczór: Zebranie uczestników Zjazdu w salach Hotelu Saskiego celem wzajemnego poznania się.

W piątek dnia 23-go kwietnia o g. 9-tej rano: Msza św. cicha w kościele św. Mikołaja, ul. Kopernika. O godz. 10-rano: Pierwsze ogólne posiedzenie Zjazdu w sali krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego (ulica Radziwiłłowska L. 4) z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie przez prezesa Polskiego Towarzystwa Balneologicznego, Jana hr. Potockiego. 2. Wybór prezesów honorowych Zjazdu, przewodniczących i sekretarzy, według propozycyi Wydziału Polskiego Towarzystwa Balneologicznego. 3. Przemówienie prezesa Tow. Lekarskiego Krakowskiego prof. Dra S. Dobrowolskiego. 4. Przemówienie Delegata Wydziału lekarskiego U. J. prof. Dra L. Wacholza. 5. Przemówienie ewentualne innych delegatów. 6. Odczytanie regulaminu Zjazdu. 7. Wykład prof. Dra J. Marchlewskiego. 8. Odczyt Dra K. Dłuskiego i M. Rozpędzichowskiego p. t. „Wyniki badań krwi w gruźlicy wedle metody Arnedta, wykonanych w pracowni Sanatoryum". 9. Referat Dra Z. Wąsowicza i Dra Z. Pelczara pt.: „O leczeniu przewlekłych chorób serca w zdrojowiskach krajowych".

Po południu o godz. 4-tej: 10. Odczyt Dra J. Regieca p. t.: „O koloniach leczniczych dla dzieci zołzowych". 11. Odczyt Dra Fr. Kmietowicza p. t.: „Ekonomiczne znaczenie naszych zdrojowisk". 12. Odczyt Dra K. Flisa p. t. „O potrzebie urządzenia stałej wystawy zdrojowisk". 13. Odczyt Dra J. Bandrowskiego p. t. „Kilka uwag o prasie zdrojowej". 14. Odczyt Dra F. Arnsteina p. t.: „Co uczynić należy, aby uprzystępnić niezamożnym warstwom społeczeństwa leczenie zdrojowo-kąpielowe? 15. Odczyt Dra T. Praschila p. t.: „O potrzebie wysłania memoryału do władz w sprawie skuteczniejszego popierania zdrojowisk krajowych". 16. Odczyt p. Z. Rosnera p. t.: „Reklama w usługach zdrojowisk".

W sobotę dnia 24-go kwietnia o g. 9-tej rano: 1. Odczyt prof. Dra Ludomiła Korczyńskiego p. t.: „Kilka uwag o klimatycznem i zdrojowem leczeniu chorób narządu krążenia". 2. Wykład Dra J. Zanietowskiego p. t.: „O postępach przyrodolecznictwa i wodolecznictwa w świetle najnowszych i własnych spostrzeżeń". 3. Odczyt Doc. Dra J. Latkowskiego (Tytuł zastrzeżony). 4. Odczyt Dra B. Kupczyka p. t. „Z dziedziny hydroterapii". 5. Odczyt Dra Jul. Aronsohna p. t.: „O leczeniu chorób kobiecych w zdrojowiskach krajowych. 6. Wykład Dra J. Zanietowskiego p. t.: „Ruch i promieniowanie w służbie balneoterapii". 7. Odczyt Dra J. Regieca p. t.: „O zastosowaniu i działaniu leczniczem solanek rymanowskich w chorobach przewodu pokarmowego". 8. Odczyt Dra G. Turzańskiego p. t.: „Wyniki leczenia zdrojowego zołzów w Iwoniczu w porównaniu z wynikami osiągniętymi w Bad-Hall, Salzbad i w uzdrowiskach morskich". 9. Zamknięcie obrad Zjazdu.

O godzinie 8-mej wieczór: Towarzyskie zebranie w salach Hotelu Saskiego. W niedzielę dnia 24-go kwietnia wspólna wycieczka do Swoszowic.

Informacyi udziela **Dr. Zanietowski, Kraków, Batorego 1.**

# Sprawy bałkańskie.

W »Kotle bałkańskim« powoli wraca spokój. Dziś wszystkie mocarstwa za pośrednictwem swoich ambasadorów w Wiedniu oznajmiły bar. Aehrenthalowi, że zgadzają się na aneksyę Bośni i Hercegowiny, a tem samem na skreślenie z traktatu berlińskiego artykułu 25, dotyczącego okupacyi tych krajów. Jest to ostateczne zatwierdzenie ugody, zawartej między Turcyą a Austro-Węgrami. Zatarg z Czarnogórą znajduje się już na drodze do pomyślnego pokojowego załatwienia. Obecnie zaś donoszą depesze o zawarciu ugody bułgarsko-tureckiej. Według oświadczenia bułgarskiego ministra handlu Liapczewa, dotyczące pertraktacye doprowadziły do porozumienia prawie we wszystkich punktach, z wyjątkiem punktu, dotyczącego części żądań tureckich, odnoszących się do funduszu religijnego (vacuuf). Pertraktacye dotyczyły specyalnie rozmaitych zmian formy podpisanego swego czasu w Petersburgu protokołu, a mianowicie:

Według petersburskiego projektu, Bułgarya zamiast 40 milionów franków, jako kapitalizacyi odszkodowania wschodnio-rumelijskiego, według dokonanej tu zmiany, zapłaci jedynie procenta od 40 milionów franków za czas od 22 września 1908 r. do podpisania protokołu.

Kwestya linii kolejowych została z obecnej ugody wyłączoną i zostanie uregulowaną dopiero po ostatecznem przyjęciu projektu petersburskiego. Przez zapłacenie 40 milionów franków za wschodnio-rumelskie linie kolejowe, oraz miliona franków za linię Belowa—Vacarel, zostają wykupione wszystkie prawa własności, koncesyjne i eksploatacyjne tych linij kolejowych.

Bułgarya rezygnuje z żądania długu 28 milionów franków za linię Varna—Ruszczuk; toż samo Turcya rezygnuje ze wszelkich swych pretensyj dłużnych.

Bułgarya zorganizuje muzułmańskie gminy w ten sposób, że będą one mogły swoje dobra vacuuf administrować. Dalsze punkty ugody dotyczą kwestyi podrzędnych.

Mniej pomyślne wiadomości nadchodzą z Turcyi. Tam zaostrza się walka między unią liberalną, która pragnie poszczególnym częściom państwa przyznać samorząd, a komitetem młodotureckim, dążącym do wzmocnienia kalifatu i centralizmu w duchu skrajno-nacyonalistycznym. Obecnie toczą się walki w Albanii, gdzie obecnie rządzące koła młodotureckie pragną złamać autonomię Albańczyków. Ponieważ nadto zanosi się także na przesilenie budżetowe — istnieje obawa, że w Turcyi wybuchnąć mogą poważne zatargi wewnętrzne.

Telegramy „Głosu Narodu" z dnia 10 kwietnia.)

## Po układzie z Czarnogórą.

**Cetynia.** (Tel. wł.). Wiadomość o pokojowem załatwieniu sporu austro-czarnogórskiego wywarła na ludność czarnogórską silne wrażenie, gdyż Czarnogórcy spodziewali się wojny. Obawiają się tam rozruchów. Onegdaj 20 żołnierzy czarnogórskich usiłowało przedostać się na terytoryum hercogowińskie i napaść na wojsko austryackie. Wczoraj atoli władze dowiedziały się zawczasu o tym zamiarze i uwięziły zbiegów jeszcze na terytoryum czarnogórskiem.

## Uwolnieni jeńcy.

**Wiedeń.** „N. Fr. Presse" donosi z Cetynii: Komisya złożona z oficerów austrowęgierskich i czarnogórskich stwierdziła, że dwaj żołnierze austryaccy 58 pp. przekroczyli o 600 m. granicę czarnogórsko-austryacką i zostali na terenie czarnogórskim uwięzieni. Obu teraz wydano na tem samem miejscu Austryi.

## Zjazd królów.

**Rzym.** (T. wł.) Dziennik „Stampa« donosi, że w drugiej połowie kwietnia w Neapolu nastąpi zjazd króla serbskiego Piotra z Wiktorem Emanuelem.

## Tajemnicza misya.

**Belgrad.** (T. wł.) Brat króla książę Arsen został wysłany przez rząd serbski w tajemniczej specyalnej misyi do Cetynii.

## Chrześcijanie w Turcyi.

**Berlin.** (T. wł.) „Localanzeiger" donosi z Saloniki: Ludność chrześcijańska w Monastyrze oburzona jest z powodu zapieczętowania kościołów chrześcijańskich. Wielki wezyr nie chce nawet na Wielkanoc zdjąć pieczęci z bram kościołów.

# Telegramy

(Telegramy „Głosu Narodu" z dnia 10 kwietnia)

## O rozpuszczenie rezerwistów.

**Wiedeń.** (T. wł.) „N. Fr. Presse" donosi, że na razie niema mowy o powrocie rezerwistów. Rozpuszczenie rezerwistów do domów wskazane jest zwłaszcza względami budżetowymi albowiam jeden dzień utrzymania wojsk na obecnej stopie kosztuje jeden milion koron), atoli ministerstwo wojny zawiadomi o tem oficyalnie opinię publiczną.

## Rząd, urzędnicy a posłowie.

**Wiedeń.** »Fremdenblatt« pisze: Z biegiem czasu utarł się zwyczaj, że jeżeli deputacye urzędników i służby państwowej chcą przedkładać swoje życzenia władzom centralnym lub innym, prawie regularnie posługują się pośrednictwem posłów. W łonie rządu panuje zapatrywanie, że sprzeciwia się to stosunkom służbowym, jeżeli służba państwowa sądzi, że dla przedkładania swoich postulatów przełożonym musi używać pośrednictwa. Rząd wychodzi z tego założenia, że służba państwowa powinna tylko u swoich przełożonych, do których przystęp ma zawsze wolny, widzieć naturalnych obrońców swoich praw i z całem zaufaniem liczyć na życzliwe przyjęcie swych próśb — podczas gdy właśnie odwoływanie się do interwencyi innej może zakłócić ten stosunek wzajemnego zaufania. Rząd domaga się więc, ażeby personal państwowy na przyszłość swoje życzenia przedkładał wprost przełożonym, nie **posługując się przy tem pośrednictwem posłów.**

## Poeta w Izbie panów.

**Wiedeń.** (T. wł.) Dzienniki wieczorne dowiadują się, że przy najbliższem uzupełnieniu Izby panów powołany będzie do niej znany poeta i nowelista niemiecki Piotr Rosegger.

(Rosegger ur. 1843 r. w Styryi jako syn ubogiego górala pracował do 18 roku życia na roli, potem trudnił się krawiectwem, a w końcu przeszedł do literatury. Dziś należy do najpopularniejszych nowelistów niemiecko-austryackich.)

## Nastrój giełdy.

**Wiedeń.** (Tel. wł). Na dzisiejszej giełdzie przedpołudniowej mimo zbliżających się Wielkanocnych Świąt były bardzo żywe obroty i nastrój był bardzo dobry pod wpływem wyższych kursów na giełdzie nowojorskiej i zwyżki na rynku żelaznym w Niemczech. Żądano głównie akcyi kredytowych, akcyi Tow. kolei państwowych i Alpin.

## Turcy w Budapeszcie.

**Budapeszt.** (Tel. wł.) Na przyszły tydzień grupa wyższych urzędników tureckich z synem Abdul-Hamida na czele przyjedzie do Budapesztu i zwiedzi instytucye finansowe i ekonomiczne. Wycieczka goszczoną będzie przez rząd węgierski. Studenci nniwersytetu zamierzają uczcić gości korowodem z pochodniami.

## „Nowoje Wremia" o wyłączeniu Chełmszczyzny.

**Petersburg.** »Nowoje Wremia« daje w ostatnim numerze odpowiedź pismom czeskim, chorwackim i słowieńskim, nazywającym utworzenie gubernii chełmskiej czwartym rozbiorem Polski.

Autor artykułu oświadcza, że większość katolików w nowej gubernii to »oporni (!) unici« Nowa gubernia etnograficznie będzie rosyjska(!), ponieważ liczyć będzie 75% (!) Rosyan. (Jest to świadomy fałsz, bo według urzędowej statystyki ludność projektowanej gubernii będzie liczyć: 51 proc. katolików, 30 proc. prawosławnych i 19 proc. Żydów i Niemców. *Przyp. Redakcyi*). Pozostała część ludności, jako to: mieszkający tam **Żydzi i Niemcy, przestanie uważać się za Polaków, tak jak to się stało w kraju zachodnim.**

»Wogóle — twierdzi autor — rozgraniczenie narodu rosyjskiego od narodu polskiego sprawie słowiańskiej dobrą odda przysługę, (!) ponieważ zmiejszy teren wzajemnych starć. Polacy tylko korzyść (!) będą mieli z tego, ponieważ — jak zapewnia autor — otrzymają jednocześnie samorząd ziemski i miejski. W odpowiedzi na zarzut, że sprawa chełmska wyłoniła się z podszeptów Niemiec »Nowoje Wremia« oświadcza, że sprawa ta dojrzała wskutek »szalonej agitacyi« księży, co potwierdzają (!) nawet wybitni myśliciele polscy jak Świętochowski i Niemojewski«. (Występ p. Niemojewskiego w sprawie chełmskiej omówiliśmy niedawno w artykule, słusznie przypuszczając, że popi i »istinno-ruscy« działacze sukurs »postępowców« warszawskich przyjmą z wdzięcznością. *Przyp. Red.*).

## Ruch syndykacki we Francyi.

**Paryż.** Wczoraj odbyło się zgromadzenie urzędników pocztowych i telegraficznych, na którem postanowiono zażądać, żeby urzędnicy mieli prawo wglądania w akta personalne. Na następnem zgromadzeniu ma być powzięta uchwała co do zamiany ogólnego związku urzędników pocztowych i telegraficznych w syndykat, oraz co do ewentualnego zastanowienia pracy 1 maja.

## Oczekiwanie następcy tronu.

**Haga.** (Tel. wł.). Rozwiązanie królowej niderlandzkiej Wilhelminy nie nastąpi w czasie Świąt Wiekanocnych, ale w pierwszych dniach po Wielkiejnocy.


Naczelny redaktor: **J. K. Maćkowski**
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Maryan Dąbrowski**


# Nadesłane.

WSZYSTKICH KASZLĄCYCH zwracamy uwagę au ogłoszenie „Thymomel Scilae", skutecznego preperatu zalecanego często przez lekarzy.



**Kogo marzec nie zabierze, tego kwiecień nie oszczędzi,** żartuje w weselszych chwilach, kaszląc niejeden chory. Lecz i niebezpieczny kwiecień minie, nie sprawdzając tego smutnego przysłowia, o ile chory dość wcześnie zastosuje skutecznie działający środek; że właśnie takim środkiem w pierwszej linii jest **Balsam aptekarza Thierry'ego** dowodzi broszura z tysiącami oryginalnych pism dziękczynnych, którą każdy na życzenie otrzyma darmo i opłatnie od aptekarza **A. Thierry'ego w Pregrada obok Rohitsch.** Żaden chory nie powinien zaniechać przeczytać dzisiejszego inseratu Thierry'ego i zamówić jego balsamu.

**Główna wygrana.** W ostatnich dniach został wypłacony gotówką przez dom bankowy **Edwarda Urbana** w **Bernie** wyciągnięty dnia 2 listopada 1901 los finlandzki Numer 2258/13. Okazuje się z tego, jak ważne jest dla każdego posiadacza losów natychmiastowe sprawdzanie wylosowanych papierów, — a takich rewizyj dokonuje chętnie zupełnie bezpłatnie powyższa firma.

**Czytelnicy nasi** chętnie zapewne zapoznają się z **„Emulsyą Scotta"** która jest powszechnie znanym środkiem domowym, mianowicie tranem wątrobianym, przewyższającym jednakowoż tenże przez swój łagodny smak i lekko strawną formę. Dzieci zażywają zwłaszcza **„Emulsyę Scotta"** nadzwyczaj chętnie, która im bardzo smakuje. Do nabycia w aptekach.

## Odpowiedź p. Dr Hupce.

Z powodu artykułu ogłoszonego w »Czasie« przez posła p. Dr Hupkę [illegible] przeniesionego ze Lwowa do K[illegible] akcyjnego Towarzystwa pod nazwą »Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego« zaznaczamy publicznie, że użyte przez niego wyrażenie, jakoby Towarzystwo »Opatrzność« urządzało na »Pol. Tow. Emigr.« »napaści«, nie jest godnem poważnego człowieka, jakim dotychczas był pan Hupka, gdyż powyższe twierdzenie jest ze strony tegoż najzwyklejszą insynuacyą.

Towarzystwo opieki nad wychodźcami »Opatrzność« w Krakowie jest instytucyą humanitarną, opartą na zasadach legalnych i na zatwierdzonym przez władzę statucie i jako takie, ma wszelkie prawo wymagać szacunku, tak dobrze, jak tego żądać może jakiekolwiek »akcyjne« Towarzystwo.

Towarzystwo »Opatrzność« istnieje od lat trzech i nie ono powzięło myśl stworzenia konkurencyi nowo powstającemu akcyjnemu Pol. Towarzystwu emigracyjnemu, a już wierutnem kłamstwem jest, aby Towarzystwo »Opatrzność« występowało przeciw komukolwiek »z napaściami«.

Działalność Towarzystwa »Opatrzność« jest zupełnie jawną, pisma i druki jego są jasne, nikogo w błąd nie wprowadzają i są skierowane wyłącznie ku obronie ludu przed wyzyskiem pokątnych ajentów emigracyjnych.

Będąc niejednokrotnie przedmiotem niesłusznych napaści ze strony dyrektora nowo powstającego Pol. Towarzystwa Emigracyjnego p. Okołowicza, jako redaktora »Przeglądu Emigracyjnego«, Towarzystwo »Opatrzność« uważało za uwłaczające swej godności bronić się przeciwko tym niecnym napaściom. Na szczęście znalazło obrońcę w niezawisłem piśmie »Przewodniku Emigracyjnym«, poświęconym sprawom wychodźtcwa, za co składa temuż pismu publicznie serdeczne podziękowanie.

Czas pokaże czy działalność Towarzystwa »Opatrzność« będzie pożyteczniejszą dla ludu od działalności przyszłej akcyjnego »Pol. Towarzystwa Emigracyjnego« obecnie powstałego.

W każdym razie jest pewnem, że Towarzystwo »Opatrzność« jako instytucya dobroczynna nie będzie nigdy napadać i bezcześcić »Pol. Towarzystwo Emigracyjne« ze względów konkurencyjnej zawiści.

Towarz. opieki nad wychodźcami „Opatrzność" w Krakowie.
Prezes: *Wł. Bończa Domagalski.*

# DODATEK ŚWIĄTECZNY

do Nru 101 „Głosu Narodu“.

## Cesarz Wilhelm II. wobec własnego narodu.

*(Briefe an den Deutschen Kronprinzen von Eduard Goldbeck).*

Od kilku lat pojawiają się w Niemczech mianowicie w Berlinie pisma ulotne, broszury, artykuły dziennikarskie zajmujące się wyłącznie krytyką rządu, a mianowicie monarchy, pisma tak zjadliwe, przekraczające wszelką miarę i przyzwoitość, że uwłaczają one godności nietylko panującego, ale i własnego narodu. Nie jest to wcale korzystnym znakiem dla rządu i narodu niemieckiego, bo wyraźnie objawia, jak głęboki zapanował roztrój pomiędzy jednym a drugim.

Niema pytania, że osoba cesarza niemieckiego daje obszerne i wdzięczne dla satyry i wyszydzań pole. Przy niezaprzeczonych osobistych przymiotach ma niestety kardynalną wadę paraliżującą wszelkie aspiracye do sławy i znaczenia, a mianowicie próżność. Od chwili objęcia władzy, wszelkie jego działanie, większe czy mniejsze, a czasami aż nazbyt drobne, miało jeden jedyny cel t. j. wysuwanie swej osobistości na pierwszy plan. Próżność stanowi tak przemożną sprężynę, jego działania, że mimo, że się już kilkanaście razy sparzył, i śmiesznością okrył, nie przestał w wynajdywaniu coraz to nowych sztuk i sztuczek, byle tylko świat o nim niezapominał.

Póki się to ograniczało na niewinnych zabawkach, jak dekorowanie jenerała Stessla, recytowanie przed profesorami amerykańskimi chronologii asyryjskiej lub ozdabianie stolicy wątpliwej wartości pomnikami, póty rzecz cała ograniczała się do zadowolenia osobistych próżnostek. Ale jak cesarz ową gadatliwością i niedyskrecyami zaczął kompromitować całą nawę polityki, mianowicie zagraniczną, wtedy żywioły kierujące tą ostatnią, musiały szukać ratunku. Nikt oczywiście wiedzieć nie może, jakie nastąpiły rozprawy między kanclerzem a cesarzem, głównie zaś następcą tronu, ale wynikiem ich była znana ówczesna deklaracya ks. Bülowa. Rzadko się zapewne zdarzyło w historyi, żeby monarcha pragnący zbyt osobiście rządzić, tak srogą otrzymał naukę, jak się zdaje aż dotąd skuteczną, bo swada jego zmrożoną została. W każdym razie nie zażywa we własnym kraju ani popularności, ani szacunku, ani znaczenia i bodaj czy jest druga osoba w państwie pruskiem, na którą byłyby obrócone argusowe oczy opinii publicznej z taką niechęcią i zjadliwością jak na cesarza. Bieżąca praca tak całego państwa, jak szczególniej stolicy jest rzec można codziennym usposobienia tego wyrazem. Wszystkie jednakże tego rodzaju publikacye przesadził Eduard Goldbeck.

Pierwszy raz spotykamy się z tem nazwiskiem. Sam o sobie powiada, że jest wziętym dziennikarzem i dużo zarabia; tem lepiej dla niego. Książka jest ciekawa i interesująca; zdradza wielką sprawność pióra; ogromne oczytanie; mimo to tylko z pewnem znużeniem ją do końca doczytać można. Jest ona żywym typem nowoczesnego stylu pewnej klasy pisarzów niemieckich, sadzących się na zwięzłość i prostotę, na czem jednakże jasność wykładu nie zyskuje.

Ubrane to jest w formę szeregu listów do następcy tronu, do którego się odzywa wpół jako mentor, wpół jako zaufany przyjaciel. Już ta forma jest powodem, że autor stanął odrazu na trójnogu, i z niego do ostatniego wiersza swej pracy nie schodzi. Nie zmiarkował jednak ile takie założenie jest niebezpieczne. Daje ono bowiem jakoby nieświadomy poshop do wydawania sądu o wszystkich i o wszystkiem bez względu na to czy się znajomością i zgłębieniem materyi do tego sądu ma prawo. Wypada z tego zarazem ciasnota i niessluszność w ocenianiu ludzi i wypadków. Przy sporej dozie zarozumiałości autor sam nie wiedząc wpadł w sprzeczność ze sobą. Wyrzucając bowiem cesarzowi, że sam wszystkiem się chce zajmować i powtarzając do przesytu następcy tronu, jako życie ludzkie zaledwie wystarcza jak ś gałąź wiedzy specyalną zupełnie opanować, sam o wszelkiej możliwej rzeczy bez odwołania wyrokuje, dając nauki ludziom, którzy o wiele trudniejsze od niego zadania spełnili.

Cokolwiekbądź, książka zawiera wiele trafnych uwag, i nie wątpimy, iż niedomagania a nawet choroby dzisiejszego rządu pruskiego sięgają głęboko, jak to autor twierdzi, tylko nas dziwi ton bezwzględnej nagany, któremu rzeczy i ludzie podlegają, obok ironii i szyderstwa nadającej książce koloryt jednostajny. Nawet uderza u doświadczonego jak się zdaje pisarza, że tego rodzaju i tej broni z wielką tylko miarą i ostrożnością używać można bo inaczej bardzo łatwo przechodzi w manierę ze wszystkich może najmniej ponętną.

Można do autora broszury zastosować krótki aforyzm niemiecki: *Schimpfen ist leichter als handeln:* pozostaje ona jednak dla nas ciekawem bardzo zjawiskiem, raz że tak niemiłosiernie, niemal z upodobaniem odkrywa rany własnego społeczeństwa i środowiska rządu i narodu, powtóre, że takie rzeczy mogą się bezkarnie drukować w stolicy państwa, gdzie z długoletniej tradycyi poszanowanie dla rządu do najniższych jego organów weszło w krew i naturę całego społeczeństwa. Mówimy wyraźnie rządu, nie dynastyi. Bardzo to ciekawe zjawisko, ale tylko dostępne dla takiego, co długie lata w tym kraju przebywał, że uczucie dynastyczne bynajmniej w Prusach nie jest ani bardzo silnem, ani bardzo żywem; o wiele jest gorętszem w Austryi, a cóż dopiero mówić o Anglii, gdzie lord, przemysłowiec lub robotnik hołduje mu z tem samem przekonaniem. Rzec można iż uwielbienie i podziw (używamy z umysłu tych wyrazów jako zawierających pewną przesadę) dla domu panującego ma w Prusach charakter urzędowy, któremu często wewnętrzne uczucie nie odpowiada. Zdarza się to najczęściej, jeżeli w panującej rodzinie się zagnieździła pewna próżność rodowa, która w tym wypadku tem łatwiej się tłómaczy, że tak w Niemczech jak w Europie wiele jest rodzin, czy panujących, czy medyatyzowanych mających wskazać na dużo starsze niźli Hohenzollernowie rodowody.

Ale już nikt nie przyczynił się tyle do otoczenia swej rodziny owym sztucznym nimbusem i kadzidłem co panujący obecnie cesarz. Gadatliwość jego zawsze nadmierna w tej materyi łamie wszelkie tamy i zapory, zalewając publiczność stekiem równie płaskich jak niesmacznych dla własnej rodziny pochwał i można zrozumieć, że u ludzi rozsądnych, a właśnie najlepszych patryotów wywołuje to niecierpliwość i dużo krwi psuje.

Sądząc po tonie całej książki i najdrastyczniejszych jej ustępach może to właśnie było ostatnią kroplą, która humor i zjadliwość P. Goldbecka wydobyła na jaw.

W każdym razie w przeciwieństwie do przechwałek cesarza nie zostawia autor suchej nitki na dynastyi, przyznając genialność jedynie Fryderykowi II, a uczciwość, postawę i godność monarszą Wilhelmowi I. Tutaj ani miejsce, ani sposobność rozwodzić się nad wadami lub zaletami dynastyi panującej w Niemczech, ale należy zwrócić uwagę na ciasnotę i wyłączność sądu autora. Dla niego istnieją dwaj ludzie, Fryderyk II. i Bismark, po za nimi chyba tylko sam autor, który orzeka o wszystkiem z taką pewnością siebie, że zdawałoby się że on jeden zepsuty do grantu organizm państwa pruskiego, Niemieckiego uzdrowić może.

Przechodzi mniej więcej wszystkie gałęzie spraw wewnętrznych, zna wszystko dobrze i niemożna przeczyć, że w niektórych sprawach mianowicie co do sądownictwa są uwagi trafne i głębokie. Nie podaje oczywiście w wątpliwość uczciwości, a niezawisłości stanu sędziowskiego, ale robi bardzo subtelną uwagę, że nabrał on w Prusach cechę kastowości, ponieważ się rekrutuje z wyborowych rodzin wysokiego mieszczaństwa, w skutek czego do godności stanu przybywa tradycya pochodzenia i wspólnoty. Wynikiem tego, że się sędzia zapatruje na sprawy nie tyle pod kątem rzeczywistym, ile tradycyi, obyczajów i wyrobionych od dzieciństwa zasad. Niema pytania, że takie stosunki na bieg sprawiedliwości ujemnie wpłynąć mogą.

Wszystko co mówi o szkolnictwie, pauperyzmie ze zbyt rozwiniętego pochodzącego przemysłu, oraz o wojskowości, są to rzeczy powszechnie znane. Srogość dyscypliny wojskowej w armii niemieckiej przechodzi jak się zdaje o wiele zwyczaje karności w innych armiach panujące.

Od czasu do czasu wychodzą na jaw rozmaite historye znęcania się wyższych nad niższymi, zwłaszcza podoficerów nad prostymi żołnierzami, zaś dzieje kolonizacyi niemieckiej w Afryce przedstawiają szereg niegodziwości i zbrodni, które już nieraz do bardzo burzliwych interpelacyi w parlamencie były powodami. Na tem tle wyrosła od dziesiątek lat cała literatura mianowicie powieściowa. Tak to, jak bezwarunkowa przewaga szlachty w wyższych stopniach wojskowych jak w pułkach gwardyjskich, jest źródłem bezustannych skarg i narzekań. Rząd ukróca od czasu do czasu zbytnią samowolę prasy, po większej części jednak będąc bezsilnym wobec wszechmocnych rzec można środków dzisiejszej publicystyki, nie broni pisać, ale swoje robi i zdaje się, że nie prędko od dwóchwiekowych blizko tradycyi ustąpi, co tem łatwiej zrozumieć można, że aż dotąd przynajmniej system panujący w armii do możliwie najświetniejszych doprowadził owoców. Niemamy naturalnie pojęcia o wewnętrznej i dzisiejszej wartości wojska niemieckiego. Czterdzieści lat pokoju, bez innej wprawy prócz manewrów i na najlepsze wojsko ujemnie wpłynąć musi, a dopiero jakaś wojna pokaże, ażali wojsko te same posiada przymioty zdolności wodzów i bitności żołnierza. mocą których się tak wielką na polach francuskich okryło chwałą. Cokolwiekbądź armia uchodzi za najpierwszą na świecie i z powodu niej wszystkie kraje, chociaż Niemców nienawidzą, serdecznie zarazem się ich boją. Prosta więc rzecz, że Niemcy tego źródła potęgi strzegą jak oka w głowie. To jest bodaj jedyny punkt, w którym się autor z rządem zgadza, twierdząc, że Niemiec będący przeciwnym silnej armii, musiał by być „albo idyotą albo zdrajcą stanu“. Piorunuje więc na nadużycia, ale wojsko uważa jako filar państwa, co jednak charakterystyczne, dużo więcej go razi faworyzowanie szlachty, niż srogość i bezprawia dyscypliny.

Obok osoby cesasza głównym przedmiotem jego nagany, gniewu i szyderstwa jest polityka zagraniczna i reprezentacya dyplomatyczna. Pod tym względem potępia w czambuł wszystko i wszystkich. Kanclerz i cesarz, całe ministerstwo spraw zagranicznych, cała służba dyplomatyczna od najwyższych do najniższych nic nie warte i tylko kraj na pośmiewisko w obec Europy wystawiają. Niema wątpliwości, że przeróżne niezręczności Wilhelma II. przechodzą czasami wszelką miarę, dużo kłopotów nabawiły urząd zagraniczny, a przymilanie się nie w porę innym państwom (Ameryka!) godność monarszą na szwank naraziło. To jednak nie uwalnia autora od zarzutu złej woli i świadomej przesady.

Mówiliśmy na wstępie o formie w jaką cała rzecz ubrana, a która by użyć najlżejszych słów wydaje nam się pospolitą i zuchwałą. Niemamy oczywiście najmniejszego powodu, ani ochoty łamać kopje w obronie cesarza Wilhelma, ale człowieka któren pisząc do syna i cytując mu mowy jego własnego ojca, oraz mowy przy rozmaitych uroczystościach na jego cześć głoszone, zaprasza go na kieliszek koniaku, bo mu te mowy takie sprawiły obrzydzenie, że się obawia złych skutków nudności, takiego człowieka zdaniem naszym wypadałoby zamknąć za tak rażące złego wychowania objawy; ani wolność osobista, ani wolność prasy by na takiem ukaraniu niegrzecznego dziecka szwanku nie poniosła żadnego. Omawiając politykę zagraniczną potrąca o innych panujących, ale i dla nich zbyt łaskawym nie jest. Edwarda VII. uważa oczywiście za wytrawniejszego o wiele polityka od swego własnego pana przyznając mu jedynie przymioty realnego polityka, wiedzącego kiedy dać, by w w miejsce tego coś odebrać.

Z wielkiem niby to uszanowaniem (bo inaczej niemoże, niechcąc się wystawić na śmieszność) odzywa się o cesarzu Franciszku Józefie i przyznaje mu wyjątkowe zalety człowieka, odmawiając zarazem przymiotów panującego. O ile taki sąd z nieuprawnionej niczem strony jest płytki i jednostronny rozwodzić się nie potrzeba.

Niedomagania w państwie niemieckiem powszechnie są znane. Nam się trudno oprzeć wobec tego tak zwanej „Schadenfreude“, chociaż usposobienie takie polityczne zupełnie jest jałowe, a nawet względem śmiertelnych wrogów niedozwolone. Oczywiście potęgi tych ostatnich życzyć sobie nie możemy, osłabienie ich zaś musimy uważać jako bezpośrednią dla nas korzyść. Otóż nie sądzimy wcale by rząd, administracya albo i polityka zagraniczna były w takim rozkładzie jak to autor twierdzi i żeby miał prawo aż do następcy tronu się zwracać by złemu tamę położyć. Widzimy owszem rząd silny, jak dla niemieckich swych poddanych użyteczny i sprawiedliwy, dbający bardzo o ład, bezpieczeństwo, o możność zarobkowania, nawet wygodę mieszkańców. Ze państwo i społeczeństwo mają wszystkie wady nowożytnych organizmów, że obyczaje miasta Berlina pod względem rozpasania przechodzą podobne inne europejskie stolice. to wszystko być może ale daleko jeszcze do tego, by na znacznem osłabieniu państwa niemieckiego stawiać horoskopy polityczne. Ze strony Prusaka czystej wody jakim się nam autor wydaje, pomiatanie Hohenzollernów musi się również wydawać niepolitycznem i przesadzonem, boć państwo za tej dynastyi urosło do niespodziewanych rozmiarów, a z pewnością nawet najśmielsze nadzieje takiego Fryderyka II. przeszło.

Nam się wydaje, że autor w swej Filipice pominął właśnie strony najważniejsze, które rzeczywiście jeśli nie dzisiaj, to w przyszłości bezpieczeństwu państwa grożą. Niemcy słusznie, a nawet z pewną usprawiedliwioną dumą cieszą się swym olbrzymim rozwojem ekonomiczno-przemysłowym. Dzisiaj pewne widzą, że nie jest on w stosunku ani do wielkości kraju, ani do liczby mieszkańców, ani do naturalnych zasobów. Na wypadek wojny, nawet zwycięskiej i krótkotrwającej, straty byłyby tak nieobliczalne, że i niemożliwa kontrybucya wojenna by ich nie wynagrodziła. W obecnym zaś ustroju polityczno-państwowym, ekonomiczne położenie państwa tak wielkiego jest znaczenie, że walna porażka na tem polu równa się wielkiej klęsce politycznej.

Co zaś najważniejsze to strona etyczna narodowa i w tym względzie Niemcy nawet najsprawiedliwsi, ulegli zupełnemu zaślepieniu i nie znalazł się żaden polityk który by dalej widział po za chwilowy choćby największy sukces. Pod tym względem Bismark mimo swej wielkości tak samo był ślepym jak i inni.

Jestto jakoś złowrogą tradycyą krzyżacką, żeby co raz rozszerzać swoją władzę i dać uczuć jak najdotkliwiej swoją przewagę słabszemu. Niezmieniło się to niczem od kilku wieków a Bismark był uosobieniem tej tradycyi w naszych czasach. Niewątpliwie odniósł sukces ogromny i nie dziwimy się, że stał się bożyszczem swego narodu. Mimo to nie wiedział lub niechciał widzieć zupełnej niemoralności swego postępowania. Przyczynił się według naszego przekonania, najwięcej do rozpalenia namiętności i nienawiści rasowo-narodowej cechujących tak smutnie, społeczeństwo całego świata. Oprócz tego zaś, nieobliczył, że Niemcy stały się kamieniem obrazy dla ustroju politycznego całej Europy. — W stosunkach prywatnego życia, nie jest mądrze ani bezpiecznie robić sobie nieprzyjaciół. W dziedzinie politycznej może to w danych okolicznościach prowadzić do zguby państwa. Musiała do tego doprowadzić polityka, bodaj największego męża stanu naszych czasów, a trzeba stwierdzić, że tak jego zastępcy w urzędzie, jak i ogromna większość narodu niemieckiego, poszła niewolniczo za jego śladem.

Co do broszury Pana Goldbecka uważamy ją jako wybryk złego humoru i złego wychowania. Skutku zapewne nie wywrze żadnego i rzeczy pójdą dalej swoją koleją. Zadziwią tylko, że takie zuchwalstwo i samowola uchodzą bez kary w tak sprężystym rządzie pruskim. Można by do niej zastosować słowa Józefa II. pisane do brata Leopolda: „jestem zdania, że należy dać ludziom spokojnie mówić co chcą, byle nam dali robić co my chcemy“.

Prusaki zresztą mają swój rozum i to wcale cięty. Będąc kiedyś w palamencie pruskim byłem świadkiem jak jeden z posłów drugiego wciągał do bufetu, podczas gdy mowca bardzo gorliwie z trybuny przemawiał zachęcając go słowy: „lass ihn nur reden“. Sądzę, że znaczna liczba czytelników niemieckich pomiędzy nimi i dostojny adresat powiedzą sobie: „lasst ihn nur schreiben“.

*Dr. Paweł Popiel.*

---

JÓZEF ARTUR hr. GOBINEAU.

## Dyalog z dzieła „Renesans, Sceny historyczne“.

Przełożyła ZOFIA JACHIMECKA.

*Rzym.*

*Ogród, cyprysy, gaje krzaków różanych; marmurowa ławka pośród traw i kwiatów; poza ławką starożytny posąg Wenery. — Rafael, Donna Beatrice.*

DONNA BEATRICE.

Kocham was więcej i inaczej niż myślicie.

RAFAEL.

Wierzę, że mnie kochacie. Jeżeli wam się tem samem odpłacam, albo raczej jeżeli wam to daję a wasze serce, jak wierne zwierciadło, odsyła mi tylko w cudnych blaskach tkliwość jaką na was zlewam, czy to nie słusznie?

DONNA BEATRICE.

Nie rozumiecie mnie, Rafaelu. Ja kocham was z siebie samej, przez samą siebie i tak całkowicie, że nie dziwię się niezrozumieniu jakie tu okazujecie.

RAFAEL.

Dlaczego tak mówisz, najdroższa?

DONNA BEATRICE.

Przykro mi widzieć, że dusza taka jak wasza nie spostrzega rzeczy prawdziwie drogocennych, któremi jej hojnie szafują, a zatrzymuje się przy tem, co jest najmniej godne jej i mnie. Dlaczego nie mielibyście mi pozwolić na tę dumną wiarę, że moje uczucie warte więcej niż moja piękność?

RAFAEL.

Myślę tak, jak sobie tego tylko możecie życzyć. Czyż moje uczucia są tak niskie, że nie widzę w was nic więcej oprócz wielkości i ognia waszych cudownych oczu, łagodnego zaokrąglenia i blasku waszych policzków, na pół otwartego granatu waszych warg i gibkości tego ciała, z którem nic się porównać nie da? Nie sądźcie tak! Ja zarówno i niemniej dobrze rozumiem do jakiego stopnia serce wasze jest wielkiem i szlachetnem i dokąd sięga wzniosłość umysłu, który niejeden poeta tak słusznie porównał do śmiałego lotu ptaka, unoszącego Jowisza na łono nieba empirejskiego. Gdybym miał malować jakąś szlachetną Sybillę, wybrałbym was; boski wawrzyn, otoczony wkoło waszych skroń, nie ściskałby nigdy godniejszego czoła! Kto nie poznaje w was świetnej uczennicy najwznioślejszej filozofii, — córki Platona? Czyż nie patrzyliśmy na was, przed zgromadzeniem mędrców, unoszonych podziwem i radością, w tym dniu, w którym objaśnialiście *Fedona* z wymową godną ateńskich i rzymskich retorów! O najpiękniejsza, najmędrsza, najwięcej natchniona a zarazem najpowabniejsza z kobiet, dlaczego myślisz, że cię niedoceniam?

DONNA BEATRICE.

Nie jestem taką jak mówicie; jestem tą, która kocha Rafaela i może być, że jest kochaną.

RAFAEL.

Może być?

DONNA BEATRICE.

Niemasz sławy ponad tą. Czyż to nie naturalne, jeżeli czasami obawiam się, że to Rafael, który oto w tej chwili, chwili równej całej wieczności szczęścia, siedzi u moich stóp na błyszczącej jak szmaragdy murawie, z ramieniem swem na mych kolanach, z swymi pięknymi włosami, z swoją czarującą głową tak czule wciśniętą w moje ręce, które... czujesz, nieprawdaż? drżą ze wzruszenia i z najgłębszej szczęśliwości!... Tak, tak, czasami zdaje mi się, że ten Rafael widząc i zanadto ceniąc we mnie to tylko co ma przeminąć, nie dość myśli o mej miłości wiecznej!... Popatrzcie na mnie.. popatrzcie na mnie dobrze... tak... w ten sposób patrzcie na mnie... Co znajdujecie, co czerpiecie z szczerości moich oczu, jeżeli nie ustawiczny wyraz mych gorących pragnień dla waszych zwycięstw, waszej sławy, wywyższenia waszego geniusza?

RAFAEL.

Niech Bóg zachowa, żebym miał tego nie zrozumieć! Lekkie skłonności, moja przyjaciółko, nietrwałe pragnienia, przelotne kaprysy są ukośnymi promieniami słońca. Niewiele grzeją i niewiele świecą; rozweselają wdzięcznie stracone punkty w wątku istnienia. Ten kto się z nich cieszy, nie postępuje źle. I to także są owoce, kiście winnych gron, bukiety wiśni, figi zielone i soczyste, wiszące na końcach gałęzi pod niespokojnym liściem. Wesoły przechodzień źleby zrobił, gdyby ich nie skosztował, jeżeli może je pochwycić i nie pozdrowił ich pragnieniem, jeżeli nie zdoła ich dosięgnąć. Nie sądźcie jednak, że przykładam się pilnie do wyszukiwania tych niezliczonych darów, wystawianych wszędzie dla przelotnej zachcianki ptaków niebieskich! moje szaleństwo, albo raczej słabość mojego serca byłaby zbyt wielką.

DONNA BEATRICE.

Otóż i słuszne zapatrywanie. Obawiałam się, że nie będziecie tak myśleli.

RAFAEL.

Źle mnie znacie skoro podejrzywaliście o podobną ciasnotę wyobraźni i serca. Pozwólcie mi być dzieckiem, które się śmieje i śmieje...

DONNA BEATRICE.

Jak potok bieżąc po kamykach posyła echom perły swego śmiechu. Ktoby cię za to ganić chciał? Czy może ja, o drogie dziecię?

RAFAEL.

Ale wiem ja także jaka przepaść dzieli przyjemność od szczęścia i kiedy anioł czystego poświęcenia siada w swej sukni białej na złamanym kamieniu grobowca, z którego dozwolił wytrysnąć życiu, nie pytam go. Kto jesteś? gdyż czuję w sobie siłę do tego czego on dokonał. Pospolita wyobraźnia tłumu, płascy rezonerzy wierzą pewnie kiedy nie potrzeba wierzyć; wątpią kiedy nie potrzeba wątpić. Oni biorą małe za wielkie a wielkie za niekształtne i... o ty! nie myśl nigdy, że cię niedoceniam! Nie wyobrażaj sobie, że szlachetność twej natury jest blaskiem niewidocznym moim ślepym oczom. Ja wiem czem ty jesteś, czuję co wartasz, biorę to co mi dajesz i ważę sprawiedliwą wagą wszystkie dobrodziejstwa, wypływające stąd dla mnie. To twój kochanek, tak, to twój kochanek do ciebie mówi... ale także i twój przyjaciel! Och! moja ukochana! To twój towarzysz, cóż mam ci powiedzieć? Twój równy! Słucha co mówi równa mu i przyjmuje jej rady tak, jak na to zasługują.

DONNA BEATRICE.

Oczy moje są pełne łez... ale jak słodkich! I nie wiem jak wam za to dziękować! Cóż tak dobrego uczyniłam, że niebo obdarowało mnie wami? Czem sobie na to zasłużyłam? Zaprawdę nie wiem tego.

RAFAEL.

Ja również nie wiem jakimi dobrymi uczynkami zdobyłem przywiązanie twoje, mój skarbie; ale po co szukać przyczyn? Czyż nie znając ich, jest się mniej szczęśliwym?

DONNA BEATRICE.

Powiedziałeś to właśnie. Jestem córką Platona i chętnie szukam początku rzeczy wiekuistych.

RAFAEL.

Kwiaty wartają więcej od zalążka, owoc więcej od kwiatu.

DONNA BEATRICE.

Jesteście człowiekiem tego co dojrzałe, tego co można widzieć, kosztować, czem można się poić. Nie trudzicie się rozłożeniem liry, aby dokładnie wyszukać w jej brzmiącem wnętrzu miejsce, gdzie się tworzy ton...

RAFAEL.

To prawda. Niebiosa nie wyznaczyły mi tego zadania. Mimo to nie oskarżajcie mnie o pogardę dla najgłębszych przyczyn rzeczy. Tam gdzie ta wiedza przyczynia się do rozwinięcia samego życia, to cenię ją tak jak powinienem. Ale przecież nie skłaniam się zbytnio do tych ciemnych nauk, badających tajemnice, których ostateczne zrozumienie nie jest zawsze bardzo pożyteczne. W istocie, lubię to, czego światło słoneczne dosięga i okrasza; reszta ma dla mnie podrzędne znaczenie.

DONNA BEATRICE.

Tak, w tej uwielbianej głowie panuje światło wszędzie i całemi falami. Nie trudno tam spostrzedz prawdę, a błąd niema tam miejsca dla swych ciemności.

RAFAEL.

Mylisz się. Nigdy samodzielnie, z siebie samego nie poznałem co trzeba było znaleść. Zawsze mi ktoś wskazywał drogę i jedynie wtenczas, kiedy obca ręka usunęła z obrazów, które miałem oglądać, suknie zakrywające mi je — wtenczas widziałem i od tej chwili widzę je z pewnością dobrze.

DONNA BEATRICE.

Co chcecie powiedzieć?

RAFAEL.

Gdybym pewnego dnia nie opuścił był na zawsze pracowni Perugina, to przez całe moje życie nie byłbym więcej zrozumiał ponadto, co on mi pokazał. Kiedy byłem we Florencyi, widok Masaccia objawił mi to, czego nie byłbym nigdy odgadł bez tego mistrza, ale to jeszcze nie było niczem. Z dziecinnych pieluch wyszedłem w istocie dopiero wtenczas, kiedy znalazłem się w pracowni Baccia d'Agnolo, żyjąc codziennie z wielkimi artystami jak

# Francuz o Szopenie.

I.

Dwa twórcze narody Francya i Polska dzielą się wspólną chlubą: wydały Fryderyka Szopena, który się urodził w Żelazowej Woli pod Warszawą 1-go Marca 1809*) roku. Ojciec artysty, Mikołaj Szopen, pochodził z Nancy. Poddany dobrego króla Stanisława, Mikołaj Szopen, emigrował do Polski, gdzie był nauczycielem języka francuskiego. Ożenił się z Polką. I oto w duszy ich syna cnoty Lotaryńczyka zlały się z tęskną poezyą Słowian i wydały czysty i dźwięczny akord — geniusz muzyczny.

Pierwsze lata dzieciństwa spędził Fryderyk Szopen w wiejskim domu ojcowskim. Wesoły i żywy z natury, lubiący karykatury i farsy, zjednywa sobie wszędzie przyjaciół.

W krainie pozbawionej wolności, a często i warunków życia, francuski humor Szopena jest mile widziany. Razu jednego dyrektor gimnazyum, gdzie uczył się mały Fryderyk i gdzie ojciec jego dawał lekcye języka francuskiego, skonfiskował album z karykaturami różnych profesorów. Między niemi znajdowała się również nie zupełnie pochlebna sylwetka dyrektora. Obejrzawszy album dyrektor oddał go Fryderykowi, mówiac jedynie: »Dobrze narysowane«.

Wrażliwe i naiwne dziecko daje się wszystkim kochać. Muzyka czaruje go i aż do łez rozrzewnia. Mając zaledwie kilka lat gra na publicznym koncercie, ubrany przez matkę we wspaniały kołnierz haftowany.

Po skończonym koncercie pani Szopen chce się dowiedzieć, co mu się najlepiej udało? Co też publiczność najhuczniej oklaskiwała?

— Mateczko — odpowiada Fryderyk, — wszyscy najbardziej podziwiali mój piękny kołnierz.

Profesor harmonii i kompozycyi, Elsner jest inteligentny i pobłażliwy dla ucznia. Odczuwa głęboką indywidualność artysty.

— Zostawcie to dziecko w spokoju — mówi do pedantów, profesorów Konserwatoryum warszawskiego — on nie może naśladować innych, gdyż sam obdarzony nadzwyczajnym talentem.

Z chwilą gdy tworzyć poczyna, ujawnia się w nim poeta. A poezye jego bogate w skarby nieporównane: piosenki, tańce i legendy ludowe.

Spędzając wakacye na wsi polskiej, notuje melodye zasłyszane gdzieś w polu między żniwiarzami; lub stojąc pod okienkiem wieśniaczej chatki, chwyta piosnkę prządki lub matki nad kołyską dziecka; to znów wsłuchuje się w tony podróżnego skrzypka-żebraka.

Zbiera melodye swojskie, rzewne i dawne, tańce dziarskie: marsze wojenne i mazury skoczne, gdzie się przebija cała dusza narodu żywego, namiętnego i nieco dzikiego, gotowego do przelewania krwi i miłosnych pocałunków.

Studya muzyczne pod kierunkiem Elsnera dały utworom Szopena wykończenie; wrodzona wykwintna elegancya uczyniła go pierwszorzędnym wirtuozem; lecz podstawą, charakterem, istotą jego arcydzieł jest i będzie zawsze dusza czysto-polska, tkliwa, namiętna i oryginalna.

Uznanie i powodzenie zdobywa Szopen wcześnie. W r. 1825 cesarz Aleksander I. obdarza go pierścieniem dyamentowym.

Szlachetna pomoc jego profesorów i przyjaciół otwiera mu drogę za granicę. Odbywa podróż do Berlina, Wiednia i Drezna. Wszędzie doznaje gościnnego przyjęcia. Wszędzie towarzyszy mu tryumf.

Największym wrogiem młodego Fryderyka to polityka, która go z kraju wypędza. Wyjeżdżając z Warszawy w 1830 roku ma przeczucie, że ją opuszcza na zawsze.

Ukochany mistrz, Elsner i liczni koledzy wręczają mu na pożegnanie srebrny kubek napełniony czarną ziemią polską.

Konstancya Gładkowska, najszczersza przyjaciółka artysty, wkłada mu na palec drogocenny pierścień. Mają się spotkać we Włoszech, więc Szopen rzuca jej wyraz: »do widzenia«. Bo nie wie, że ani będzie we Włoszech ani zobaczy p. Gładkowską. Młodzieńcze marzenia uwozi pogrzebane w ziemi warszawskiej, która wypełnia srebrny kubek.

II.

Po Wrocławiu, Dreźnie, Pradze, Wiedniu i Monachium zamierzał artysta powitać ciepłe Włochy, lecz rewolucya 1830 roku w Warszawie zmieniła jego plany.

Pojechał do Paryża.

W końcu września 1831 r. Szopen przybywa do Francyi, której już do śmierci nie opuszcza.

Ten sam obłęd, który wyludniał Alzacyę i Lotaryngię, wypędzał z Polski najlepszych jej synów. To też Szopen znalazł u nas licznych rodaków.

Lesneur, nauczyciel Berlioza powitał życzliwie ucznia Elsnera.

Wspaniały wieczór u Rothschilda dał poznać artystę salonom paryskim, na których wkrótce zajaśniała w całym swym niepomiernym blasku gwiazda Szopena i zdala od kłopotów materyalnej treści mogła się rozrastać, potężnieć.

Kobiety szalały za młodym wirtuozem, mężczyźni obsypywali pochlebnemi krytykami. Był w modzie.

A Szopen lubił tę huczną atmosferę ówczesnych światowych salonów. Miło mu było wśród uperfumowanych komplementów i ponętnych uśmiechów pięknych paryżanek.

Dowodem najwyższego powodzenia jest fakt, iż był kochankiem George Sand. Każąc mu trochę cierpieć, tak zresztą jak wszystkim jego poprzednikom, zatrzymała go jednak dłużej niż innych. Woziła go z sobą na wyspy Balearskie. Przyjmowała u siebie w Nohant.

Jednego letniego wieczoru, widząc, iż Szopen jest w natchnieniu, George Sand kazała pogasić wszystkie światła w pełnym gości salonie. Zaczął improwizować. George Sand słuchała siedząc na kanapie obok Eugeniusza Delacroix. Czar nadziemskiej poezyi, słodka dusza muzyka-poety unosiły się w ciemni i ciszy. Wtem rozległo się westchnienie Delacroix'a:

— Ach! Co za rozkosze! Słuchać Szopena przy pani Sand... w ciemności!

III.

Romantyczny stosunek Szopena z panią Sand trwał całe lat ośm.

Tymczasem zapał i namiętność, jakie wkładał artysta w swe utwory, ten liryzm palący, przytem płacz i jęki pochodzące z Polski-męczennicy, odgłosy nieszczęsnej walki, łkania rozpaczy, zawiedzionych nadziei — wyczerpywały jego nerwy i siły fizyczne. Gasł powoli lecz widecznie.

Powalony na śmiertelne łoże nie zaprzestawał w pracy.

Uwolniony przez panią Sand, która »nie miała czasu« stanąć u wezgłowia umierającego kochanka, gromadził arcydzieła.

Czując się blizkim śmierci chciał się nasycić na wieczną drogę pieśnią, która mu tak do życia była niezbędną jak powietrze i pokarm.

Dnia 15-go Października 1849 r. wyrzekł.

— Teraz zaczynam konać.

Wezwano hrabinę Delfinę Potocką. Prosił aby śpiewała.

Wstrzymując łzy, gorąca ta artystka wykonała pięknym lubo drżącym ze wzruszenia głosem hymn ze Stradelli.

Gdy skończyła, umierający prosił, aby go powtórzyła. Hrabina zaczęła piękny psalm Marcella. Wszyscy obecni poklękali.

Zaledwie ucichły ostatnie tony tej pieśni, wszedł kapłan z Olejami Świętemi.

Tak więc na ziemi francuskiej głos polski odprowadził go w świat pozagrobowy.

*) Świeżo Ferd. Hosick w „Czasie“ przypomniał i udowodnił, że Chopin przyszedł na świat nie 1 marca 1809 r., lecz — 22 lutego 1810 roku, że zatem setna rocznica urodzin jego obchodzona być powinna dopiero w r. przyszłym.

# Piśmiennictwo polskie w r. 1908.

Ruch literacki w ubiegłym roku wcale nie należał do szczęśliwych i pomyślnych. Był to tylko dalszy ciąg zupełnie miernych pod względem sukcesu wydawniczego stosunków z roku przedostatniego, obniżenie się podaży artystycznej książki, zbyt wydawnictw poprzednio opublikowanych a natomiast hiperprodukcya struny duchowej lżejszej i niepomierny wytwór w najkulturalniejszych nawet ogniskach literackich powieści popularnej, która na półkach księgarskich zajęła poczestne miejsce, eliminując wydawnictwa nieraz pierwszorzędnej wartości artystycznej, autorów znakomitej i w literaturze pierwsze miejsce zajmującej marki.

W stosunkach też księgarskich zapanowała ogromna stagnacya, spowodowana niechęcią, wahaniem się, pewnego rodzaju bojaźnią angażowania się w większe akcye wydawnicze — nierzadko też zdarzały się wypadki, że księgarz dobrze nawet materyalnie sytuowany, tom poezyi, nowell, czy powieści, przyniesiony mu przez literata bądźto wprost odrzucał, bądź jeżeli przyjął, zwlekał jaknajdłużej z wydaniem go.

Duży także wpływ na osłabienie ruchu wydawniczego miały stosunki w Królestwie, które dotychczas stanowiło gross odbiorców czytającej publiczności. Datuje się to zresztą od znanych nam już wypadków rewolucyi rosyjskiej, które dominujący rozumie się w złem znaczeniu, miały wpływ pod tym względem

Mimo to jednak, produkcya literacka ubiegłego roku, aczkolwiek znacznie obniżoną została niż w latach poprzednich n. p. w r. 1902 lub 1905, miała chwile sporadyczne, kiedy się półki księgarskie dość licznie zapełniały, kiedy się ruch potęgował i to dość znacznie, i kiedy literackie objawy produkcyi były dość owocne.

W każdym jednak razie, nie można powiedzieć, byśmy się w literaturze cofali; rozmaite »czasowe« tamy i przeszkody, będące wypływem bądźto burz i zawichrzeń politycznych, bądź też pewnego rodzaju siłą zewnętrzną lub gwałtownym a zboczonym odruchem jakiegoś »milieu« społecznego, czy nawet narodu nie stworzą stałego, negatywnego i szkodliwego oddziaływania w kierunku kurczenia się produkcyi literackiej; są one »vis maior«, chwilowym przymusem, jednodniowym prądem, lub zaciemnieniem się na pewien czas horyzontu literackiego; nigdy zaś nie mogą być brane na poczet umysłowego i duchowego osłabienia społeczeństwa.

Ograniczając się w ramach niniejszego artykułu dziennikarskiego, będziemy musieli w tym przeglądzie streścić jedynie tylko literackie objawy i zjawiska produkcyi artystycznej w ubiegłym roku, nadając mu barwę bibliograficznego, statystycznego tylko sprawozdania, czy przeglądu.

Zaczniemy od literatury pięknej.

W dziale poezyi, dziś po powieści najliczniej reprezentowanej w Polsce, mamy do zanotowania kilka pierwszy raz w szranki literackie wchodzących nazwisk. Nie mówimy tu o autorach mających dużo dobrej woli... jeszcze więcej ambicyi a już najmniej talentu, lecz o indywidualnościach, z których utworów bije jakaś świeżość, którzy mieli i mają dużo do powiedzenia, z którymi więc jeszcze kiedyś spotkać się można.

I tak wyszły tomiki: »Powrót« Z. Lady, »Psalmy dnia dzisiejszego« H. Roztworowskiego, »Źródło« J. Lipińskiej, »Chrzest« T. Nalepińskiego, »Poezye« Savitzi, »Poezye« E. Ligockiego, »Bez tytułu« K. Malewskiego i piękne, pełne ognia i siły »Poezye« zmarłego niedawno a bardzo utalentowanego Mieczysława Kudelki. Ponadto wyszły: Kasprowicza »Ballada o słoneczniku«, drugie wydanie »Dnia duszy« L. Staffa i tegoż przepyszny tom wierszy p. t. »Gałąź kwitnąca«, »Ballady tatrzańskie« i »Powieść tajemna« W. Wolskiego, »Na przyźbie« K. Laskowskiego (Ella), »Serdeczna skarga« Z. Różyckiego, »I mówi do mnie wieś« K. Królińskiego, »Z zapatrzeń« K. Wroczyńskiego, bardzo artystycznie i umiejętnie dokonany przez R. Zrębowicza, »Wybór poezyi« C. Norwida, utwory Wojczyńskiego, Tatarówny, Łęczyca i G. Baumfelda. Wspomnieć tu także należy o wydaniu dalszych rapsodów »Sobieskiego pod Wiedniem« zmarłej sędziwej poetki Deotymy, o drukującym się w »Bibliotece warszawskiej« dalszym ciągu »Pana Balzera w Brazylii« M. Konopnickiej i nakoniec o pięknem a potrzebnem wydawnictwie »Autologii współczesnych poetów polskich«.

Pewnego rodzaju nowością w dziale poezyi jest wydanie świetnych i doskonałych wierszy satyrycznych Borja »Piosenki i fraszki Zielonego Balonika« i »Igraszki kabaretowe«, oraz E. Leszczyńskiego »Kabaret szalony«.

Z wybitnych i wielkich parnasistów z wyjątkiem dwóch, na początku wymienionych, żaden nie zabrał głosu.

Nasza wiecznie szczupła i nieobfita literatura dramatyczna także niemoże za ubiegły rok poszczycić się licznym plonem. Nagroda konkursowa Wydziału krajowego nie przypadła nikomu, żadnej też z nadesłanych sztuk na ten konkurs nie dano odznaczenia.

Tu zaczniemy od Wyspiańskiego »Daniela«. Zapolska wydała dalszy ciąg »Moralności«: »Panią Dulską przed sądem«, W. Orkan »Franka Rakoczego«, A. Nowaczyński »Cara Samozwańca« i »Smocze gniazdo«, B. Gorczyński »Parodye miłości«, Z. Kawecki głośną swą »Szkołę«, W. Grubiński »Pijanych« i T. Konczyński »Białe pawie«. Z początkujących na tem polu wystąpili z mniej lub większym sukcesem: S. Obrzud »Słoneczna pieśń«, A. Wołowski »Na progu życia«, Ad. Dobrowolski »Jak smutna ballada«, A. Stodor »Kapłani sztuki«, M. Zielewiczówna »Nędzarze«, F. Łubierzyński »Dzwonnik«, A. Kallas »Wesoła pani« i J. Rączkowski w wydawnictwie »Teatrów i chórów włościańskich« z doskonałym swym »Wozem Drzymały«.

Niwa więc jak widzimy nieuprawna i odłogiem leżąca.

Przechodząc do porządku dziennego nad rozmaitemi mniej lub więcej autentycznemi tłumaczeniami sensacyjnych utworów M. Leblanca, Conan Doylego, Lerouxa, Huncego i rozmaitych Carterów-Nicków, i Buffalo-billów, które taką fatalną urządziły konkurencyę literaturze artystycznej, zaznaczyć należy na pocieszenie, że już minęła pierwsza gorączka, zainteresowanie słabnie. Sherlock Holmes przestał czynić sensacyę, a wraz z tem »bibuła« kryminalna zwija swoje bazary z rynków księgarskich, by w niedługim czasie ogłosić generalne bankructwo.

Te przekłady z literatury pięknej, jakie w minionym roku wyszły, aczkolwiek jest ich ilość szczupła, są jednak doskonałemi i obejmują pisarzy najznakomitszych w literaturze światowej.

I tak: Kasprowicz przełożył, tak jak on tylko umie Marlowego »Dzieje Fausta«, Hauptmanna »Biednego Henryka«, Shelley'ego »Edypa Tyrana«; u Morikowicza wyszły dalsze ciągi tłumaczeń Nietschego, dokonane przez Berenta, Staffa i Drzewieckiego, A. Sygietyński przełożył Tainéa »Podróż po Włoszech«, B. Butrymowicz i E. Cięglewicz Arystofanesa, J. Pietrzycki Liryki Anakreonta i Safony, ponadto Szukiewicz Gravesa »Biografię szatana«, Gostkowski Mereżkowskiego »Piotra Wielkiego« i »Antychr[illegible]«, K. R[illegible]towski dał »Wybór współczesnych poetów francuskich«. Duże powodzenie miały tłumaczenia, dokonane w tym czasie Wildego, Sinclaire'a, Lansona, S. Lagerlöff, Arcybaszewa, Andrejewa, Dostojewskiego, Rovetty i Hebbla.

Przechodzimy teraz do powieści. Tu bardzo słusznie zauważył jeden z warszawskich krytyków, że niewiadomo, z jakiej racyi ustaliło się w Polsce przekonanie, że we współczesnej powieści polskiej panuje stanowcze przeładowanie. Kiedy tak nie jest w rzeczywistości. Co prawda, to przyznać musimy, że już od szeregu lat, przy słabo reprezentowanej twórczości literackiej w innych gałęziach piśmiennictwa, powieść polska zawsze dość bogato świeżemi płodami jest zasilaną, że zawsze wchodzić poczynają po jej szczeblach do literatury nowe, obiecujące talenty, że zawsze zostają nam odsłonięte nowe prawdy, nowe źródła, wskazania, ideały i widnokręgi. Lecz cyfra statystyczna dobrych utworów powieściowych prawie wcale nie idzie w »crescendo«. Bo jeśli wyeliminuje się cały szereg autorów nie mających nic wspólnego z artyzmem, dalej, jeżeli wstrzymamy się z daniem stanowczej opinii outworach pierwszy raz czystych, a pod tym lub owym względem słabych, to pozostanie nam materyał nie silny i tak bogaty, iżby zaspokoił w zupełności potrzeby rodzinnego czytelnictwa.

Zresztą jestto już od paru lat wiadomą rzeczą, co znaczy zdobycie powieści do feljetonu szanującego się pisma i także ciekawy jest objaw, iż autor co dopiero napisanej powieści z całą łatwością drukuje ją nieraz w 3 i 4 odrazu dziennikach.

A to chyba nie świadczy o zbytniej powieściowej hiperprodukcyi!

Naczelne miejsce zajmuje jak wpierw tak i w r. 1908 Sienkiewicz. Znakomity pisarz, który ukończył obecnie świeżą powieść »Ponad życiem« wydał w bieżącym roku prawdziwe perły i cacka literackie p. t. »Dwie łąki«, Orzeszkowa »Iskry«, Zapolska »Córka Tuśki«, »Sezonową miłość« i świeżą powieść »Szaleństwo«, Tetmajer »Króla Andrzeja« i zbiór nowell »Z wielkiego domu«, Sieroszewski »Małżeństwo«, Żeromski »Dzieje grzechu« i prześliczną »Dumę o hetmanie«, Przyński »Sławnego człowieka« i »Pam[illegible] wisielca« Reymont »Burzę«, Rodziew[illegible] »Byli i będą« i »Rupiecie«, Daniłowski [illegible]żenie więzienne«, Belmont »Nowelle i [illegible]ry«, Gawalewicz »Wicherek« i »Bez celu«, Kosiakiewicz »Z powrotem«, Gruszecki »Bojowników«, »Na wulkanie« i »Kolejarzy« (rzeczy tendencyjne, niedość artystyczne).

Z młodych a utalentowanych belletrystów, których indywidualność rozwija się coraz to szerzej i pogłębia z roku na rok, wyszły prace: H. Zbierzchowskiego »Grający las« i »Literat«, Niedźwiedzkiego »Boa dusiciel«, »Nowe erotyki« i »Czarna pantera«, Bartkiewicza »Słabe serca«, Żmudzkiego »Bór«, Struga (Niemojewskiego) »Ludzie podziemni« i »Jutro«, Brzozowskiego »Płomienie«, Bohowityna »Czarnemi czcionkami«, B. Halickiej »Ostatni Stuart«, Koncsyńskiego »Głód szczęścia«, M. Srokowskiego »Ich tajemnica«,

---

Andrea Sonsovino, Filippino Lippi, Benedetto da Majano, Cronaca, Francesco Granacci, słuchając tego co każdy umiał, co, że tak powiem, odkrywał każdej chwili w świecie swych marzeń będąc czy to rzeźbiarzem, malarzem albo architektą i kiedy tak przygotowany rozwiązałem i zrzuciłem opaski wczesnej młodości i moje członki zostały oswobodzone, wtenczas, moja przyjaciółko, wtenczas dopiero mogłem zrozumieć nauki jakie wielki Leonardo przekazał mnie, każdemu z nas, wszystkim wiekom przyszłym. Widzisz, nie wyszedłem z siebie samego, nie urodziłem się z siebie, i nie licząc starożytności, wiele innych przykładów służyło za regułę, drogowskaz i źródło temu, co nazywasz moim geniuszem.

DONNA BEATRICE.

Dobrze! Niech tak będzie! Nie jesteś Pallas Ateną, która w pełnej zbroi zrodziła się z głowy boga. Jesteś teraz młodym człowiekiem zaledwie; piękność twego oblicza ma jeszcze wiele z tych prawie kobiecych konturów, kwiatów młodzieńczego wieku. Nie powinno to dziwić nikogo, że musiałeś najpierw słuchać zdania twych poprzedników i patrzeć i oceniać ich odkrycia. Teraz jednak wiesz wszystko. Achilles nie potrzebował nauk Centaura, ani mój Aleksander przestróg filozofa. To co ci dano do rąk wydało owoc; ty więcej umiesz niż Perugino, niż Masaccio, niż Leonardo, więcej niż wszyscy oni razem, a dopiero wchodzisz w życie. Cały świat będzie się uczył od ciebie, a ty od nikogo nie nauczysz się już więcej.

RAFAEL.

I znowu się mylisz. Będę się uczył ciągle i od wszystkich. Chcesz, żebym ci wyznał, w czem uważam się za szczęśliwszego może od moich poprzedników? Oto w tem: każdy z nich pozostawał zamknięty w jednem kole. Znał artystów swojego miasta a innych nie odwiedzał. Myślał tak jak ty, że wrodzony talent nie ma granic i wystarczy do osiągnięcia wszystkich wyników. Niema nic błędniejszego. Ja będę wielkim, ja twój Rafael, ponieważ uczę się wszędzie i od wszystkich; nie zatrzymuję się nigdy w moich poszukiwaniach. Nie wiele obchodzi mnie grzebanie pod korzeniami drzewa, które należy do wszystkich; ale ja chcę drzewa i chcę owoców i oto dlaczego, ukochana moja, jestem tem, czem jestem..

DONNA BEATRICE.

Ty jesteś wdziękiem, jesteś czarem, jesteś wszystkiem...

RAFAEL.

Nie! powtarzam ci, nie jestem wszystkiem. Jestem może rozsądkiem, jestem umiarkowaniem, jestem zdrowym sądem, jestem, jeśli chcesz, mądrością i uświadomionym smakiem, ale nie jestem głębią a nadewszystko nie jestem wzniosłością.

DONNA BEATRICE.

Któż jest jednem i drugiem?

RAFAEL.

Michał-Anioł.

DONNA BEATRICE.

Michał-Anioł? Ta ponura, smutna, ciasna, ciemna, niespokojna dusza?... Czy to poważnie mówicie, Rafaelu? Takiego człowieka porównywać z wami! On podobny do demona ciemności, podczas kiedy wy jesteście obrazem archanioła, którego imię nosicie. Cóż za kaprys skromności owładnął wami w tej chwili?

RAFAEL.

Gdybym się zagłębił w tę posępną duszę, znalazłbym tam niejedną zadymioną tajemnicę, z której potrafi on zrobić błyszczące złoto. Wulkan był także niekształtnym bogiem, pokrytym sadzą, żyjącym pośród czerwonawych żużli swych kuźni na Lemnos. Ale żaden z bogów przebiegających lazury nieba, ani słoneczny Febus, ani Merkury, grający na flecie, nie stał się tak wielkim artystą jak on!

DONNA BEATRICE.

Nie! mylicie się. Niema nic wspólnego między tem przebogatem życiem, które z całej waszej natury wylewa się pogodną, natchnioną siłą w wasze dzieła a barbarzyńską dzikością tego, któremu zdajecie się zazdrościć.

RAFAEL.

Gdybym jako jego uczeń, jako jego najpilniejszy i najskromniejszy uczeń, nie był kopiował jego nieporównanego kartonu pizańskiego, gdyby wuj Bramante, pozwalając mi zajrzeć w tajemnicy do kaplicy sykstyńskiej, nie był mi dał tego nieoszacowanego szczęścia przyjrzenia się dziełom tego wszechpotężnego człowieka, nie byłbym tem czem jestem, nawetbym marzyć nie mógł o tem, co jeszcze potrafię zrobić. Czemu pochylasz głowę? Dokonam większych, szlachetniejszych rzeczy od niego, chociaż on jest większym wynalazcą niż ja. On znajduje i umie znajdywać, ale nie danem mu jest oddzielać srebro od ołowiu ani tysiącznych plam sadzy od czystości jego myśli. Co do mnie, moja przyjaciółko, to nie jestem może tak jak on Jehową świata; czerpałem ze wszystkich stron i z każdych rąk; to co należy do mnie, należało do innych. Ale cóż stąd; ja wszystko rozszerzyłem, wszystko podniosłem, wszystko oświeciłem! Jestem tym, który porządkuje! Nie zabawiałem się — kopiując jednego, okradając drugiego, nędznie przystosowując strzępy tajemnic zapożyczonych u każdego, o które wszyscy mieliby prawo upominać się później. Nie! ja wszystko razem stopiłem i z tych nierównych żywiołów stworzyłem sobie siłę jednym rzutem. Z silnego i mojego, naprawdę mojego materyału zabieram się odtąd do tworzenia moich dzieł, ciągle coś do nich dorzucając; materyał ten zmieszany jest tak jak chcę, zabarwiony tak jak mi to wypada, twardy do takiego stopnia jak mi się podoba i w ten to sposób wzniosę pomniki, na których wyryję moją pieczęć — a której nikt mi nie wydrze! Widzisz, że sam siebie chwalę, aby się pocieszyć i przypodobać się tobie. Lecz umysł mój pokazuję ci takim, jakim go niebiosa stworzyły, a nie takim jakim go bezmierne uczucie błędnie sobie przedstawia. Nie wynoszę się, ale nie czynię siebie mniejszym i ponad Michała-Anioła i wielu innych mam zaletę, o której mi nie mówisz, a która sama w sobie więcej warta jak wszystko to, co oni posiadają.

DONNA BEATRICE.

Ja ją znam... ja ją widzę, i... nią oddycham!

RAFAEL.

I jakaż to, proszę cię? Jest że ona tak widoczną?

DONNA BEATRICE.

Och! jak bardzo! Jakże ona płonie w twoim wzroku, jakże ją poznać w twej postawie, w tym boskim wdzięku, który najmniejszemu twemu ruchowi użycza miary! Twoją zaletą, Rafaelu, jest być szczęśliwym! Ty jesteś szczęśliwy! Szczęście rozpostarło swą różową zasłonę ponad macierzyńskiem łożem w chwili twych urodzin. Kochano cię od pierwszych twych kroków, od pierwszego twego uśmiechu. Zdawałoby się, że lata, które wiążąc się z sobą, składają się na twój wiek, miały same tylko wiosny. Myślałeś, zgłębiałeś, pracowałeś, pracujesz zawsze, ale zawsze to, co jest dla innych trudem, dla ciebie przeistaczało się w swobodną rozrywkę. Nie masz niewdzięcznej pracy. Kochano cię — powiedziałam? Kochany jesteś! Możni, książęta, papieże, najwięcej poważane kobiety uwielbiają Rafaela; starsze, kochają go jak najbardziej upragnionego syna, a jeśli są w kwiecie młodości, to czynią to, co ja czynię.. ubóstwiają go! Nie dziwię się, widząc jak dobrze oddajesz szczerość, cnotę, niewinność, wdzięk... Zło nie miało przystępu do ciebie a widząc i znając tylko miłość, jakże mógłbyś być innym niż jesteś? Bądź zdrów... bądź zdrów mój przyjacielu; bądź zdrów kochanku mój.., Bądź zdrów, moje bóstwo!

RAFAEL.

Idziesz już?

DONNA BEATRICE.

Już?... Tak to, już... to zawcześnie!... A przecież jestem tu od rana a słońce zachodzi i złoto jego promieni zdaje się ruszać w lśniącej purpurze ostatnich blasków. Zresztą słyszę głosy na końcu ogrodu. To przyjaciele twoi idą. Nie chcę, żeby mnie spotkali.

RAFAEL.

Zostań chwilę, moja najdroższa; powiem im, żeby w domu poczekali na mnie. Nie odchodź jeszcze, błagam cię!... Kazałaś mi mówić o wszystkiem, ale cóż sobie powiedzieliśmy o nas samych?

DONNA BEATRICE.

Och! jeśli o to chodziło... o tem wiemy dość. Widzę Bianchinę! Daje mi znak. Moja lektyka oddawna czeka już na ulicy. Jakże nieostrożni jesteśmy!

RAFAEL.

Jakże nieczułą jesteście!

DONNA BEATRICE.

Niewdzięczny!

RAFAEL.

Do jutra, nieprawdaż? Tu [illegible] siebie?... na moście, na Tybrze?... Gdzie?

DONNA BEATRICE.

Nie!.. Jutro? Jakto zrobić?... A więc niechaj będzie! zdajmy się na los! Przyjdź o dziesiątej rano do S. S. Apostoli; pójdę tam wysłuchać mszy św. i będę w kościele tylko z Bianchiną. Bądź zdrów!

RAFAEL.

Bądź zdrowa, ubóstwiam Cię!

*(Beatrice odchodzi).*

Jaroszyńskiego »W nawiasach życia«, Sclavusa (Gąsiorowskiego) »Księżna Łowicka«, Orkana »Miłość pasterska«, Krzyżanowskiego »Wobec sumienia«, Schiffmana »Pankracy August I«, Weyssenhoffa »Dni polityczne« i Konara »W syrenim grodzie«.

Duże powodzenie miały i dobrze napisane są powieści Morawskiego, Muttermilcha, Zgrzyta, Ostrowskiego, Winiarskiego, Klevego, Dzeteo, Mimara, B. Wysoczańskiego, T. Zubrzyckiego, Garlikowskiej, Kulikowskiej i Zabojeckiej.

Ogromny, świeży, zupełnie oryginalny talent bije z utworów powieściowych trzech poraz pierwszy w tym kierunku piszących autorów, a to z Chrzanowskiego Wincentego »Ułuda«, »Henryka Flisa« — Stanisława Muellera, i z nowell Kornela Makuszyńskiego pt. »Rzeczy wesołe«.

Z innych gałęzi piśmiennictwa najobficiej reprezentowane były literatura wraz z estetyką i historya.

W pierwszym dziale zanotować należy prócz ukazania się dalszych »Rozpraw Akad. Umiejętności« i dalszego ciągu ś. p. Pilata „Historyi literatury polskiej“, kilka pomnikowych prac, niesłychanie ciekawych, ważnych i doskonale opracowanych. W pierwszym rzędzie należy tu „Monsalwat“ A. Górskiego (II wyd.) „Michał Anioł“ W. Kozickiego w cennem wydawnictwie Tow. naucz. szkół wyższych „Nauka i sztuka“, K. Wróblewskiego „Legenda“ Wyspiańskiego, kompletne wydanie Słowackiego z okazyi roku pamiątkowego, Olszowskiego „Rozwój polskiego malarstwa“, Rydla „Ferenike i Pejsidoros“, przepyszne studyum Witkiewicza o Matejce i Hoesicka „Jan Kochanowski“. Z wielkiem zainteresowaniem oczekiwać należy ukazania się nowego dzieła K. Chłędowskiego „Rzym — ludzie Odrodzenia“, które już jest oddanem pod prasę.

Nie można przejść dalej nad tym działem niewymieniwszy studyów M. Szyjkowskiego „Génie du Christianisme a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej“, Flacha „Byrona“ i „Wyspiańskiego“, Baumfelda „Romanowskiego“, Grabowskiego „Literaturę aryańską w Polsce“, Pinińskiego „Przechadzki po muzeach“, Wł. Mickiewicza „Powstanie listopadowe w dramatach Wyspiańskiego“.

Ze studyum Grabowskiego „Współczesna Chorwacya“ przechodzimy do historyi. Z dzieł w tym kierunku wydanych widzimy jasno, iż współcześni polscy historycy z wielkiem zamiłowaniem sondują krytycznie przeszłość narodową, wydobywając z zamierzchłych kart dziejowych nowe prawdy i nieznane materyały.

Pierwsze miejsce zajmują tu znakomite prace Łozińskiego „Życie polskie w dawnych wiekach“, Rőmera „Litwa“, Smolki „Polityka Lubeckiego“, Bujaka „Galicya“, Jabłonowskiego „Polska XVI wieku“ J. Moszyńskiego „Sprawa zgody Polski z Rosyą“ i Rollego „Z minionych stuleci“.

J. K. Kochanowski wydał „Szkice i drobiazgi historyczne“, Sokołowski napisał rzecz o powstaniu listopadowem, Zakrzewski „Zagadnienia historyczne“, Sobieski W. „Henryk IV wobec Polski“ i Prochaska „Król Władysław Jagiełło“.

W dziale ekonomiczno-społecznym zaznaczyć należy ukazanie się znakomitej pracy R. Dmowskiego „Niemcy, Rosya i kwestya polska“, Anonima „Myśli Polaka starej daty“; nadto wyszły Kulczyckiego „Rewolucya rosyjska“, Sujkowskiego „Geografia ekonomiczna“, Cara „Nowe drogi“, Biedronia „Zielony sztandar“, Kranza „Materyalizm ekonomiczny“, Kurnatowskiego „O solidaryzmie“, Świderskiego „Z za pługa“, i głośna na kilka języków europejskich tłumaczona, aktualna broszura S. Górskiego „Niemcy w Królestwie polskiem“.

Z filozoficznych dzieł ukazały się Sterlinga „Badania psychologiczne“, Straszewskiego „W dążeniu do syntezy“, Majewskiego „Prolegomena i podstawy do filozofii dziejów i socyologii“, praca Rubczyńskiego i tłumaczenie Bolszego „Miłość w przyrodzie“.

Aby zamknąć feljeton, wspomniemy o założonych w Polsce w r. 1908 nowych wydawnictwach peryodycznych, duży kontakt mających z ruchem piśmienniczym. Należą tu warszawskie: „Książnica polska“, Nowości literackie“, „Nowości literackie“, świetny „Sfinks“, „Ateneum“, „Witeź“, „Wolne słowo“, „Scena i Sztuka“, „Młoda muzyka“, „Głos polski“, i znowiona „Biesiada“. W Krakowie „Świat w obrazach“, „Łan młodzieży“, „Świt“; we Lwowie „Ateneum polskie“ z „Przeglądem narodowym“, „Przez lądy i morza“, „Lamus“ i zawieszony, pod redakcyą T. Pawlikowskiego dawniej wychodzący „Nasz kraj«.

Lwów. *Adam Dobrowolski.*

# Pojęcie piękna u Japończyków.

Szkic.

Zamiast wstępu, niechaj posłuży następujący wielce charakterystyczny rys, wyjęty z życia środowiska japońskiego.

Pewnego wieczoru byłem z moim przewodnikiem Inu-suka w teatrze ludowym w Kioto. Już wtedy (r. 1892) posiadało Kioto scenę ruchomą, obracającą się w płaszczyźnie poziomej, jaką dopiero później mogłem zauważyć w niektórych teatrach Paryża i Berlina. Rzecz wielce wygodna i praktyczna, bo za obrotem sceny o pewien łuk koła, scena przedstawia gotowe, przedtem już przysposobione wnętrze sceniczne dla następnej odsłony, przez co wiele zyskuje się na czasie. Tem praktyczniejszą jest tego rodzaju scena dla ludowych teatrów japońskich, gdzie na wieczór składają się przeważnie jednoaktówki i to w liczbie 10—12, bo tam każdy za swoje pieniądze chce mieć wszystkiego do syta.

Jednoaktówki przedstawiano na przemian: najpierw zawsze coś smutnego, potem coś wesołego. A więc najpierw jakąś bladą parę królewską, biadającą nad swym synem, który niewiadomo gdzie znikł; wierny przyjaciel domu, niemniej gorzko rozpaczający, wybiera się wobec tego w drogę, by syna odszukać. Następuje powtórna scena rozpaczy stroskanych rodziców, gdy wtem powraca ów przyjaciel z koszykiem w ręku, który mu jakiś przechodzień wręczył na znak pozdrowienia od drogiego syna bolejącej pary królewskiej. W obecności drżących z radości rodziców otwiera przyjaciel kosz, z którego wyglądają ucięte ręce i ugotowana głowa drogiego syna, przybrane w liście kapusty, wszystko to przerażająco wiernie odtworzone. Naturalnie matka wiesza się, ojca trafia apopleksya, a przyjaciel energicznym ruchem ręki robi sobie »harakiri«...

Kilka czarnych postaci, które przez cały przeciąg sztuki uwijało się w tyle, wyskakuje naprzód i wprawia w ruch scenę. — Inny obraz, dla odmiany wesoły: W herbaciarni. Dwie gejsze nadobne w krótkiem, przeźroczystem kimono tańczą przed czcigodną jakąś matroną. Wtem zjawia się dumny samuraj; gejsze, chichocząc, znikają. Żywa rozmowa między matroną i samurajem, wywołuje raz poraz wesołe śmiechy wśród widzów. Inusuka objaśnia mię, iż samuraj jest zakochany, tylko nie wie w kim, — i przedstawia swój stroskany stan czcigodnej matronie, która znów usiłuje go pocieszyć.

Naraz wyskakuje znowu jedna z owych czarnych postaci, czychających w tyle i wpuszcza na scenę jakąś lalkowatą, groteskową postać kobiecą. We widowni huragan śmiechu. Tymczasem dziwna ta piękność, oglądana przez samuraja na wszystkie boki, oświadczą, iż umie śpiewać piękne piosnki i wydaje zarazem niemożliwe do słuchania pienia. Samuraj słania się bolejąco, — tymczasem zjawia się druga, trzecia i więcej coraz większych karykatur niewieścich — a wśród tego ciągle uwijają się owe czarne postacie, zajęte najgorliwiej bez wszelkiej żenady wpuszczaniem tych osób na scenę.

Pytam się Inu-suka: — »Co to za czarni ludzie?« — »Czarni ludzie?« — pyta się i spogląda zdziwiony. — »Ja nic nie widzę«. — Pokazuję mu zatem, że tu za samurajem stoi jeden, tam przy ścianie dwóch, a tam czwarty wpuszcza znów jakąś postać kobiecą. — »Ach to« — mówi Inu-suka, niejako zaskoczony, »to są robotnicy teatralni, ale tych się nie widzi...

Nie przypomina to czasów szekspirowskich, w których publiczność zamiast bogatych kulisów i dekoracyi, zadawalała się napisami „las“ »sala rycerska«, a przy tem prymitywnem urządzeniu umiała sobie wiele piękniejszych rzeczy wyobrazić niżby to dziś najefektowniejszy art.-malarz dekoracyjny zdołał przedstawić?

Japończyk nie widzi tych czarnych pomocników, ponieważ nie powinien ich widzieć. Tradycyjny, czarny kostyum czyni te skromne postacie niewidzialnemi dla jego oka, co mu bynajmniej nie przeszkadza w jego intensywnem zachwycaniu się sztuką.

Jakżeż się to jednak zgadza ona nieświadoma chęć niewidzenia przedmiotów, psujących Europejczykowi wrażenie z tym tak zresztą bystrym darem wrażliwości Japończyka, z jego znakomitym wzrokiem, z wysoko rozwiniętem poczuciem piękna, które posiada cały naród, — i to w o wiele większym stopniu, niż kulturalni Europejczycy?

Wytłómaczenie tego faktu znajdziemy na następnym przykładzie. Oto przypatrzmy się temu prawdziwemu natchnieniu, temu uroczystemu nastrojowi, który ogarnia cały lud podczas kwitnięcia wiśni. Gromadnie ciągną wtedy przed kwitnące drzewa, siadają przed niemi i godzinami podziwiają biały, lśniący przepych ponad ich głowami. Ułamaną gałązkę podają sobie jak drogocenne dzieło sztuki, z ręki do ręki, oglądają na wszystkie strony i omawiają w najdrobniejszych szczegółach: „Tu tkwią dwa kwiecia tuż przy sobie, tam trzy, — tu w górze stoi wśród tego różany pączek, a tam puszczają małe jasnozielone listki z ciemnobrązowej kory; — a ta mała odnoga gałązki jest całkiem goła i smutnie i ponuro odstaje, od swej sąsiadki, która znów przepełniona jest kwieciem; w zamian za to atoli gałązka ta jest kształtniejsza i pełniejsza, ujawniając delikatną linię swego ugałęzienia w najczystszej postaci“.

Przed i w każdym domu widzieć można potem kwitnące gałązki wiśni jużto w prostych doniczkach glinianych, jużto w zwyczajnych rurkach bambusowych, wiszących obok drzwi, tak u najuboższego, jak i u najbogatszego, lecz nie jak u nas w zbite pęki powiązane, kwiat na kwieciu ściśnięty — nie — lecz zaledwie jedną gałązkę, najwyżej dwie, jedną krótszą, a drugą dłuższą dodając do tego kilka źdźbeł trawy, albo kawałek suchej gałązki punii, tyle tylko, aby kontrastem tym spotęgować piękno barw kwiecia.

Nic nie ujdzie przed ich bystrem okiem. W obrazach ich malarzy, w przedstawieniu zwierząt i ludzi podczas ruchu widzimy, jak dobrze obserwują, z jaką pewnością fotografii błyskawicznej umieją pochwycić lot ptaka, skok małpy, bieg konia itp.

A przy tem wszystkiem widzimy u Japończyka zupełne niezwracanie uwagi, widoczne ignorowanie wielkich, uchwytnych przedmiotów tam, gdzie zwyczaj i obyczaj tego wymaga.

Jak zrozumieć ten kontrast? Możnaby usprawiedliwić to tem, iż należałoby uważać fakt ten za właściwy Japończykom produkt kultury, który skoro tylko istnieje, jako pozostałość przez czas i tradycyę uświęcony, — istnieje nadal u narodu bez zdawania sobie najzupełniej z tego sprawy, co jest właściwą tegoż przyczyną. I faktycznie hypoteza ta ma bardzo wiele prawdopodobieństwa, lecz rzeczy samej nie wyjaśnia, dopóki nie uprzytomnimy sobie pierwotnych elementów, z których powstał naród japoński.

Tymi pierwiastkami są: Ainosi, — dziecię natury, i Mongołowie, naród w peryodzie zlania się z tamtymi już wysoko rozwinięty, wielce sztuce oddany, a więc pełen kultury, — bo kultury chińskiej. Ponieważ dziś uważamy stanowczo Japończyka pod względem antropologicznym za zlanie się Mongoła z Ainosem, — nic więc dziwnego, że i zalety ducha jednego i drugiego tkwią w nim niepodzielnie.

Bez sięgania zatem zbyt głęboko w niebezpieczną i pełną hypotez zazwyczaj psychologię ludów, jesteśmy jednak w stanie wyłowić z tej wielkiej całości Aino-Mongołów najważniejsze momenty właściwości ducha.

Japończyka, jako dziecię natury, charakteryzuje owa wewnętrzna, pełna zamiłowania, zasadnicza znajomość linii i kształtów przyrody, w której ten lud żyje; bez zrozumienia organicznego związku, posiada bystry wzrok spostrzegawczy wszelkiego, choćby najmniejszego uzewnętrzniania się jakiegokolwiek zjawiska przyrody. A obok tego posiada naiwny podziw i szacunek dla każdego choćby nawet tak prymitywnego wytworu sztuki, który np. w fetyszyzmie tak uderzająco występuje.

Natomiast Japończyk jako naród kultury przyniósł gotową, wysoko stojącą i właśnie pod względem sztuki nadzwyczajnie skończoną cywilizacyę, która skiełkowała w chińskiem środowisku kulturalnem.

W nowem więc otoczeniu rozwijał się na gruncie dawnych tradycyi samoistny kierunek w sztuce, samodzielna obserwacya sztuki, z czego wyciągnąwszy konsekwencye, możemy łatwo wytłomaczyć, dlaczego n. p. w Japonii wyżej rozwinął się artystyczny i pełen prawdy dar przedstawiania zwierząt i roślin. Oto zdziałał to wpływ pojęć i obserwacyi młodzieńczego ludu natury na zmurszałe formy sztuki chińskiej.

# Celny strzelec.

(Wspomnienia z Sahary).

Dwa lata temu podróżowałem dyliżansem przez Saharę wielkim traktem karawan, który zaczyna się w Beni Mora, a kończy się, jak powiadają, w Timbuktu. Jechaliśmy po czternaście godzin dziennie, a co wieczór o dziewiątej zatrzymywaliśmy się w tak zwanem „bordż“, czyli oberży; tam pospiesznie zjadłszy wieczerzę, rzucaliśmy się na nasze puszyste arabskie kobierce i zasypialiśmy snem twardym aż do świtu, wycieńczeni zmęczeniem i silnem powietrzem pustyni. W podwieczornej godzinie trzeciego dnia naszej podróży, zaskoczyła nas burza piaszczysta. Zerwał się wicher, miotający piaskiem, wirował dokoła dyliżansu i szamoczących się koni i zasłonił widok pustyni tak całkowicie, jak mgła londyńska zasłania widok ulic w dzień listopadowy. Zapanowało dojmujące zimno; zacząłem wzdychać do najbliższego przystanku.

— Gdzie dzisiaj nocujemy? — krzyknąłem do ucha francuskiemu woźnicy, który w żółtej czapeczce ściągniętej na uszy, zachęcał głosem swoje koniki.

— Sidi Hamdan — odpowiedział, nie odwracając głowy — w gospodzie, którą trzyma „Celny strzelec“.

W trzy godziny później zajechaliśmy przed niski budynek, z okien którego błyskało miłe światło; wysiadłem z dyliżansu cały zesztywniały i spiesznie wbiegłem pod dach upragniony.

W drzwiach stał mężczyzna, krótki, silnie zbudowany, w średnim wieku Francuz; rysy twarzy miał wybitne, siwą krótką bródkę, gęste brwi i ciemne, wypukłe oczy o ognistem, błyszczącem spojrzeniu.

— „Bon soir m'sieu“ — przemówił.

— „Bon soir“ — odpowiedziałem.

Był to mój gospodarz, właściciel oberży, którego mój woźnica nazwał „Celnym strzelcem“.

Dowiedziałem się później, że nie tylko był gospodarzem tej pustynnej oberży, ale zarazem kucharzem, garsonem; jednem słowem całym jej personalem w jednej osobie. Żył tutaj absolutnie samotny i jedynym był Europejczykiem w tej arabskiej osadzie, rzuconej w głąb pustek Sahary. Tę wiadomość wyciągnąłem z niego podczas gdy mi posługiwał do obiadu, który spożywałem w zupełnej samotności. Towarzysze moi z dyliżansu byli to Arabi, którzy rozpłynęli się gdzieś, jak cienie, z chwilą, gdy dyliżans zatrzymał się na brukowanem podwórzu, w obrębie tego jednopiętrowego budynku.

Skończywszy obiad, zapaliłem cygaro. Byłem teraz sam zupełnie w pustej jadalni. Burza dosięgła swego szczytu; piasek jak grad, tłukł w drewniane okiennice i zrobiło mi się bardzo przykro. Francuski woźnica z pewnością w tej chwili zajadał wieczerzę w kuchni z gospodarzem, może tam siedzą przy ogniu. Zapragnąłem towarzystwa, ciepła i postanowiłem przyłączyć się do nich. To też otworzyłem drzwi i wyjrzałem na korytarz. Głosów nie było słychać, ale dojrzałem światło w niewielkiej odległości; poszedłem w tym kierunku i znalazłem się w małej kuchence, gdzie gospodarz, siedząc nad ogniskiem w pośrodku swoich garnków i rondli, palił cienkie czarne cygaro i odczytywał brudny numer algierskiego pisma *Journal Anti-Juif*. Widząc mnie wchodzącego, grzecznie złożył pismo.

— Pan tutaj sam — zacząłem.

— Tak, m'sieu. Woźnica poszedł do koni.

Ofiarowałem mu jedno z mych cygar hawańskich; przyjął je chętnie i zaraz zapalił od ognia.

— Dawno już pan tu mieszka?

— Od dwudziestu lat, m'sieu.

— Dwadzieścia lat sam jeden na takiem odludziu!

— Dziewiętnaście lat sam, m'sieu. Przedtem miałem przy sobie moją małą Marie.

— Marie?

— Moje dziecko, m'sieu. Pochowana jest w piaskach, za gospodą.

Przyjrzałem mu się w milczeniu. Brunatna, zmarszczona twarz jego była spokojną, ale w wypukłych oczach gorzał ten sam blask i ogień, co dawniej.

— Tam się zaczynają palmy — dorzucił. — Z roku na rok oszczędzałem, ile mogłem, a teraz już zakupiłem wszystkie drzewa palmowe w pobliżu miejsca, gdzie ona leży.

Zaciągnął się dymem cygara.

— Pan pochodzi z Francyi? — zapytałem.

— Z Południa. Urodziłem się w Casis, blisko Marsylii.

— I nie zamierza pan tam z czasem wrócić?

— Nigdy, m'sieu. Czyżbyś pan chciał, żebym ja moje dziecko opuścił?

— Ależ — napomknąłem łagodnie — wszakżeż ona nie żyje!

— Tak; ale ja jej obiecałem, że jej ojciec leżeć przy niej będzie, by nie była tak samą zupełnie. Samą ją tutaj miałbym zostawić, samą z Arabami!...

CONAN DOYLE.

# Przygoda samotnej cyklistki.

3 (Tłómaczył z angielskiego M. G.)

Ponieważ dowiedzieliśmy się od panny Violet, że ma powracać w poniedziałek pociągiem, odchodzącym ze stacyi Watterloo o 9·50, wybrałem się więc wcześnie. Na stacyi w Farnham łatwo się dowiedziałem, gdzie leży Charlington Heath. Nie mogłem omylić się do właściwego miejsca wypadku młodej damy, ponieważ droga biegnie w tem miejscu między otwartem polem, pokrytem wrzosem, a starym, cisowym żywopłotem, otaczającym park, zarosły wspaniałemi drzewami. Do parku prowadziła brama kamienna, pokryta mchem, o smukłych filarach, na których można było jeszcze dostrzedz zmurszałe w patynie dawnej przeszłości herby; ale oprócz tego głównego wjazdu zauważyłem kilka przerw w żywopłocie, przez które prowadziły ścieżki do wnętrza ogrodu. Jakkolwiek domu nie można było widzieć z gościńca, to jednak całe otoczenie świadczyło o jego posępności i przygnębiającym nastroju.

Pole pokryte złotymi płatkami kwitnącego jaskru, błyszczało w jasnych promieniach wiosennego słońca. Za jednym z wspomnianych krzewów zająłem stanowisko w ten sposób, że mogłem obserwować i wjazd do Hall i obydwie strony dość wielkiego kawałka drogi. Gościniec był całkiem pusty, kiedy schodziłem z niego, a teraz ze swego ukrycia zauważyłem cyklistę, pędzącego w kierunku przeciwnym temu, skąd sam przybyłem. Widziałem jego czarne ubranie i ciemną brodę. Dojechawszy do końca gruntów Charlington, nieznajomy zeskoczył z maszyny i poprowadził ją przez jedną z przerw w żywopłocie, niknąc mi z oczu.

Kwadrans później ukazał się drugi cyklista. Tym razem była to młoda kobieta, jadąca ze stacyi. Widziałem, jak oglądała się naokoło, kiedy zbliżyła się do żywopłotu Charlington. Chwilę później nieznajomy wynużył się z miejsca swego ukrycia, a wskoczywszy na rower, podążył za nią. W całej szerokiej przestrzeni były tylko dwie poruszające się postacie: pełna wdzięku dziewczyna, prosto trzymająca się na swej maszynie, a za nią pochylony mężczyzna. Kobieta spojrzała w jego stronę i zwolniła biegu; on uczynił to samo. Zatrzymała się, on również zeskoczył z roweru, trzymając się w odległości 200 yardów za nią. Następne jej poruszenie było zarówno nieoczekiwane jak i śmiałe, a mianowicie zatoczyła ona nagle koło i w szybkiem pędzie podążyła naprzeciw nieznajomego, który jednak równie szybko wskoczył na rower, szukając ratunku w rozpaczliwej ucieczce. Wkrótce więc zawróciła z dumnie podniesioną głową, nie zwracając już uwagi na swego towarzysza, który znowu postępował za nią w pewnej odległości, wreszcie znikli z moich oczu wskutek zakrętu drogi.

Dobrze, że pozostałem jeszcze chwilę w mojem ukryciu, ponieważ wkrótce ukazał się nieznajomy, jadąc powoli z powrotem. Zwrócił się do bramy, prowadzącej do Hall, i zeskoczył z maszyny. Przez kilka minut widziałem go stojącego wśród drzew. Zdawało mi się, że podniósł ręce do góry i poprawiał sobie krawatkę; wsiadł na rower i odjechał w stronę Hall. Wprawdzie pobiegłem za nim przez pole, ujrzałem jednak tylko zarysy starego, szarego budynku ze sterczącymi kominami z czasów Tudorów, ale nie mogłem dostrzedz cyklisty, ponieważ droga prowadziła wśród gęstych zarośli.

Przekonany o tem, że doskonale wywiązałem się ze swego zadania, wielce zadowolony powracałem do Farnham. Miejscowy ajent, zajmujący się wynajmowaniem domów, nie mógł mi dać żadnych wyjaśnień co do lokatorów Charlington Hall, tylko polecił mi udać się w tym względzie do dobrze znanej firmy w Pall Mall. Usłuchałem jego rady i wstąpiłem tam po drodze; zastępca firmy przyjął mię grzecznie, ale oświadczył mi, że nie będę mógł wynająć na lato Charlington Hall, ponieważ miesiąc ten zajął go niejaki Williamson, godny szacunku, starszy gentleman. Grzeczny ajent nie mógł nic więcej powiedzieć o lokatorze z Hall.

Sherlok Holmes z uwagą słuchał mojego długiego sprawozdania, które złożyłem mu wieczorem tego samego dnia, ale nie zdobył się ani na jedno słowo pochwały, na którą, jak spodziewałem się, zupełnie zasłużyłem. Nawet przeciwnie, jego twarz surowa przybrała daleko ostrzejszy wyraz, niż wtedy, kiedy rozbierał krytycznie dokonane lub niedokonane przezemnie czyny.

„Zupełnie fałszywie wybrałeś miejsce ukrycia, drogi Watsonie. Powinieneś był ukryć się za żywopłotem, a wtedy zobaczyłbyś zbliska tę interesującą osobę. Ponieważ zaś byłeś od niego oddalony od kilkaset jardów, możesz mi więc o nim powiedzieć mniej, niż panna Smith. Panna Smith jest w błędnem mniemaniu, że nie zna owego mężczyzny, ale ja jestem przekonany, że jest to jej znajomy, Czyż, gdyby rzecz się miała inaczej, powinien tak obawiać się, aby jego rysów zbliska nie zobaczyła? Mówiłeś mi, że jechał za nią nisko pochylony ku rączkom roweru. Znowu chęć maskowania się, jak widzisz. Działałeś niezwykle błędnie. Kiedy nieznajomy powracał do domu, ty chcąc dowiedzieć się, kim on jest, udajesz się do Londynu, do ajenta zajmującego się wynajmowaniem domów.

— Cóż więc powinienem był uczynić — wybuchłem z pewną urazą.

— Iść do najbliższej gospody. Tam mieści się centrum plotek z całej okolicy. Wymienionoby ci tam każde imię, od pana aż do prostej dziewki. Williamson! To nazwisko nic mi nie przywodzi na myśl. Jeżeli jest w podeszłym wieku mężczyzną, to nie może on być owym nieznajomym, który zdołał umknąć przed pościgiem atletycznie zbudowanej kobiety. Co zyskaliśmy przez twoją wyprawę? Pewność, że opowiadanie dziewczyny było prawdziwe, o czem zresztą nigdy nie wątpiłem. Dalej przekonaliśmy się, że pomiędzy cyklistką a Hall istnieje jakiś stosunek, czego już poprzednio byłem pewny, a wreszcie, że lokator, zamieszkujący Hall, nazywa się Williamson. Dobrze, dobrze mój drogi, nie rób tak przygnębionej miny. Możemy jeszcze zrobić coś więcej aż do najbliższej soboty, a w międzyczasie zrobię na własną rękę jedno lub dwa badania. Następnego dnia rano otrzymaliśmy list od panny Smith, zawiadamiający nas w zwięzły i szczegółowy sposób o wypadkach, których byłem świadkiem, ale rdzeń listu leżał w przypisku:

»Jestem pewna, że pan uwzględni moją śmiałość, panie Holmes, zwłaszcza, że moje położenie znacznie się pogorszyło wobec faktu oświadczenia mi się przez pana Carruthers. Jestem przekonana, że jego uczucia są najszczersze i najuczciwsze, ale mimo to odmówiłam mu swej ręki, co on przyjął poważnie i bardzo spokojnie. Może pan jednak łatwo zrozumieć, że sytuacya jest napięta.

— Nasza młoda przyjaciółka zdaje się być w bardzo przykrej sytuacyi — rzekł zamyślony Holmes, kiedy ukończył czytać list.

— Wypadek jej ma bezwątpienia więcej interesujących rysów, a zarazem łatwiejszy do rozwiązania, niż początkowo przypuszczałem. Niezłą byłoby rzeczą udać się na prowincyę i spędzić tam cichy, spokojny dzień celem zasięgnięcia informacyi i potwierdzenia prawdziwości teoryi, którą sobie w tej sprawie stworzyłem. Jeszcze dzisiaj po południu udam się tam!

Osobliwie jednak skończył się ów spokojny dzień, spędzony przez Holmesa na wsi; przyjaciel mój powrócił późnym wieczorem na Baker Street z rozbitą wargą, z zaczerwienionem czołem, a nadto z tym pospolitym wyrazem roztargnienia na twarzy, który mógłby zrobić z niego wcale odpowiedni przedmiot obserwacyi w Scotland Yard (dom dla obłąkanych). Podniecony swoimi przygodami śmiał się serdecznie, opowiadając mi o nich.

— Tak mało oddaję się czynnym ćwiczeniom, że prawie zawsze są one dla mnie pożądaną lekcyą — rzekł Holmes. — Wiesz, że posiadam pewną wprawę w starym, angielskim, praktycznym sporcie boksowania. Nieraz znajomość jego oddaje poważne usługi. Dzisiaj, naprzykład, byłoby się źle ze mną skończyło, gdybym nie znał sztuki boksowania.

Prosiłem go, aby mi opowiedział, co mu się wydarzyło.

— Wynalazłem ową gospodę, na którą już zwróciłem twą uwagę, i tam rozpocząłem me ostrożne wywiady. Wstąpiłem do szynkowni, a gadatliwy gospodarz poinformował mię o tem wszystkiem, co mi było potrzebne. Williamson jest siwobrodym mężczyzną i żyje z nieliczną służbą w Hall. Krąży pogłoska, że jest albo był księdzem, ale kilka wypadków, które wydarzyły się w czasie krótkiego jego pobytu w Hall, świadczą jak się zdaje, przeciw temu. Zasięgnąłem w tym kierunku wiadomości w agencyi, zajmującej się sprawami duchownych, i dowiedziałem się, że człowiek tego nazwiska otrzymał święcenia, ale że karyera jego była niezwykle ciemna. Dalej pouczył mię szynkarz, że z końcem każdego tygodnia odwiedzają Hall jacyś mężczyźni, szczególnie zaś jeden gentleman z czerwonym wąsem, nazwiskiem Woodley. Tak daleko zaszliśmy w swej rozmowie, kiedy oto wszedł do izby tensam gentlemam, o którym właśnie mówiliśmy; pił on w sąsiednim pokoju piwo i podsłuchał całą naszą rozmowę. Kto jestem? Czego chcę? Co pragnę osiągnąć przez moje wypytywania? — wybuchnął Woodley, upiększając swą mowę niezwykle energicznymi przymiotnikami. Potok wyrzutów zakończył uderzeniem pięści, którego, nie udało mi się w zupełności uniknąć. Następne minuty były wspaniałe. Jak widzisz wyszedłem z tej awantury bez większego szwanku. Po walce pan Woodley odjechał do domu powozem. Tak zakończyła się moja wycieczka na wieś, a muszę ci wyznać, że dzień ten, spędzony tak przyjemnie przezemnie na granicy Surrey, nie wiele więcej przyniósł korzyści od twej wyprawy.

We czwartek otrzymałem znowu list od naszej klientki.

»Zapewne nie zdziwi pana wiadomość — »pisze ona — że porzucam moje zajęcie. Na

— Nie lubisz pan Arabów?

— Lubić tych brudnych psów! Czy nikt panu o mnie nic nie mówił, *m'sieu?*

— Tyle tylko mi mówiono, że nazywasz się pan „Celny strzelec“.

— Prawda, tak mnie tu nazywają, tu na pustyni.

— Jesteś pan więc zapewne myśliwym? Znakomitym strzelcem?

Rozśmiał się nagle, ale od tego jego śmiechu dreszcz po mnie przebiegł.

— O, oni nie dla tego zwią mnie „Celnym strzelcem“, że umiem ubijać gazelle i znosić je do domu na obiad. Nie! nie! Czy mam panu powiedzieć, dla czego mnie tak nazywają?

Spojrzał na mnie niby nieufnie, niby trochę smutno.

— Tylko, że jeżeli opowiem to panu, to może żołądek pański nie zniesie pożywienia, które gotowały te ręce — dodał nagle, wyciągając ręce swoje ku mnie. — Pan jesteś Anglikiem, *m'sieu?*

— Tak jest.

— W takim razie na pewno pan mnie nie zrozumiesz.

— A ja myślę owszem, że zrozumiem pana — odpowiedziałem, patrząc mu prosto w oczy.

Pociągnął mnie ku niemu sposób, w jaki o swojem dziecku wspominał. Cokolwiek uczynił, czułem, że rycerskość i tkliwość mieszkały w duszy tego człowieka.

— Wytłómacz mi pan, dlaczego tak cię nazwano?

— Ludzie z Południa, *m'sieu,* nie są podobni do reszty Francuzów — zaczął — przynajmniej tak wszyscy mówią. Lubimy się przechwalać, być może, ale też za to lubimy życie pełne przygód, mamy pragnienie poznania świata i dokazania na świecie czegoś wielkiego. Ludzie z południa są gadatliwi, to pan wie, więc lubią mówić o tem, co zrobili. Słuchałem ich często w Cassis, gdy byłem młodym chłopcem, a raz widziałem żuawa przed balkonem oberży, do której ludzie schodzą się w dni świąteczne. Opowiadania, które słyszałem, obudziły we mnie pragnienie wędrówek, ale gdym ujrzał żuawa w tych szerokich czerwonych spodniach i w kurtce niebieskiej z czerwonem, wtedy powiedziałem sobie: „Jak tylko odsłużę moje trzy lata wojskowości, pojadę do Afryki i tam zrobię majątek“. Odsłużyłem moje trzy lata w Grenoble, *m'sieu,* a po ukończeniu służby wykonałem mój zamiar. Pojechałem do Afryki, ale nie przybyłem tu sam.

Przez jakąś minutę milcząc, puszczał dym z cygara, a gorejący wyraz jego oczu wystąpił jeszcze dobitniej, jak płomień, podsycony wiatrem.

— Zabrałeś pan ze sobą towarzysza?

— Zabrałem ze sobą żonę, dziewczynę z Cassis. Dobra to wtedy była dziewczyna.

Przerwał znowu, a potem ciągnął dalej, nieco teraz głos podnosząc.

— Dobrą była, *m'sieu,* ponieważ nic nie widziała. To tak często bywa. Ja to sam kładłem jej w głowę, że są na świecie rzeczy do widzenia, ciekawsze niż skały, puste, zakurzone drogi i łodzie rybackie w zatoce. Często później o tem myślałem — później — od czasu gdy mi dano tę nazwę „Celny strzelec“. Na imię jej było Marya, a miała lat ośmnaście, gdyśmy stanęli przed księdzem. Nazajutrz udaliśmy się do Marsylii i wsiedliśmy na okręt idący do Algieru. Głowy nasze pełne były nie wiem czego. Zdawało nam się, żeśmy bardzo mądrzy i że damy sobie doskonale radę w takim kraju, jak Afryka. I tak też z początku było. Dostaliśmy się do jednego z hoteli w Algierze. Ona była pokojówką, a ja portyerem, a że cudzoziemcy przyjeżdżali i wyjeżdżali i goście wynagradzali nas za nasze staranne usługi, to też zarabialiśmy dość sporo pieniędzy i uskładaliśmy ich trochę. Bodaj było je raczej i wszystke wydać, aż do ostatniego sou!

Głos jego na chwilę zabrzmiał złorzeczącą skargą. Po chwili ciągnął dalej widocznie siląc się na spokój.

— Pan rozumie, *m'sieu,* w Algierze nie mieliśmy nic wspólnego z Arabami. Z oszczędzonymi pieniędzmi opuściliśmy Algier i udaliśmy się na pustynię, by wydzierżawić kawiarnię blisko stacyi w Beni-Mora.

— Właśnie stamtąd jadę.

— Ona się nazywa „Powrót z Sahary“. — Pijałem tam kawę nieraz.

— To właśnie myśmy ją prowadzili i tam urodziła się mała Marya. W owym czasie mało było cudzoziemców w Beni-Mora. Kolej dopiero niedawno tam dotąd doprowadzili i dzika to była miejscowość. Mało było cudzoziemców, z wyjątkiem Arabów. No i ci bywali często naszymi gośćmi. Nauczyliśmy się trochę mówić ich językiem, oni trochę naszym; a nie mając znajomych ani przyjaciół w tamtych stronach, weszliśmy w pewien rodzaj zażyłości z niektórymi z nich. Te brudne psy! te wielbłądy!

Ściśniętą pięścią uderzył w stół. W miarę opowiadania zatracił świadomość mojej badawczej uwagi.

— Ale oni umieją podobać się kobietom, *m'sieu!*

— Bywają między nimi bardzo piękni mężczyźni — odpowiedziałem.

— To nie tylko to. Oni, jak zwierz dziki, umieją przeszywać kobiety wzrokiem, a to właśnie kobiety lubią. Co do mnie, ja nigdy nie uważałem ich prawie za mężczyzn — to jest w ten sposób, w stosunku do kobiety z Cassis, *m'sieu.* Ale Marya...

Głos stanął mu w gardle, przeciął zębami resztkę cygara i gorejący odgryzek rozdeptał nogą.

— Ona im usługiwała, *m'sieu* — podjął znowu, odchrząknąwszy. — Ale ja najczęściej byłem przy tem i nie wiem jakim sposobem.,. tylko że kobiety umieją zawsze znaleźć sposób. Otóż jednego dnia poszła do „wróżącego z piasku“, tak oni to tam nazywają. Nie ukrywała się z tem wcale. Powiedziała mi, że ma ochotę pójść, a ja jej nie broniłem. Ja jej nigdy nie broniłem niczego, jeżeli w czemś znajdowała rozrywkę, albo przyjemność. Nie mogłem opuścić kawiarni, więc też poszła sama do mieszkania, które on zajmował obok ogrodu Gazelli, na końcu ulicy Tanecznej.

— Wiem — za placem, gdzie palą kif.

— Skoro wróciła, zapytałem, co jej też „wróżący“ wywróżył. Nie odpowiedziała, ale poszła i siadła pod drzewem, naprzeciw miejsca, gdzie piorą bieliznę. Poszedłem za nią, bo wyglądała, jakby była chora.

— Czy on dla ciebie czytał z piasku? zapytałem.

— Tak — odpowiedziała — czytał.

— I cóż on tam wyczytał?

Obróciła się i spojrzała mi prosto w oczy.

— Że mój los leży w piasku — rzekła — i twój i jej.

I wskazała oczami na małą Maryę, która przed drzwiami bawiła się właśnie z naszym żółtym kotkiem.

— I czegóż ty się obawiasz? — mówię do niej. — Czyż to nie przyszliśmy na pustynię po to, żeby los zrobić, a małoż to piasku jest na pustyni?

— Tutaj go niewiele — mówi.

I to prawda, *m'sieu.* Grunt jest przeważnie twardy w Beni-Mora.

— Tak jest — rzekłem — podając mu drugie cygaro.

Odmówił szybkim gestem.

— Więcej już nigdy ani słowem nie chciała wspomnieć o tem, co jej ten „wróżący z piasku“ powiedział, tylko od tego dnia była jak odmieniona. Niespokojną była jak zbłąkana łania, *m'sieu* i ja przy niej nie miałem spokoju. Czasami nie chciała mówić do naszej małej, gdy dziecko do niej podbiegało, to znów kiedyindziej brała ją na kolana i całowała ją... całowała, aż buzia maleńkiej robiła się czerwona, jak gdyby ją kto uderzył. Aż wreszcie jednego dnia, gdy wieczór zapadł, poszła sobie.

— Poszła!

— Chorowałem na febrę i poszedłem spędzić noc w łaźniach siarczanych; pan wie, *m'sieu,* w Hammam-Salahin u stóp gór. O samym świcie powróciłem, by otworzyć kawiarnię. Schodząc z muła przed drzwiami, posłyszałem — tu twarz jego skurczyła się konwulsyjnie — posłyszałem najokropniejszy w świecie płacz dziecka. Ten płacz był taki okropny, że stałem w miejscu, trzymając uzdę muła, słuchałem i lękałem się wejść. Ileż razy przedtem słyszałem płacz dzieci... ale, Boże! nigdy nie słyszałem takiego. Nareszcie puściłem muła i wszedłem, chwiejąc się na nogach. Zastałem maleńką samą w domu i tak jakby oszalałą. Całą noc była sama jedna.

Twarz jego stężała.

— A jej matka wiedziała, że ja całą noc będę w Hammam.

Tak, to do tego przyjść musiało... To, że zastałem moją maleńką opuszczoną w ten sposób i w takiem miejscu, to właśnie sprawiło, że zarobiłem sobie na moje nazwanie.

Zapadł nagle w chmurne milczenie. Przerwałem je, pytając:

— Czy to ten „wróżący z piasku“?

Spojrzał na mnie bystro.

— Nie wiem.

— Nigdy się pan nie dowiedziałeś?

— W Beni-Mora kobiety chodzą zawoalowane — odpowiedział krótko.

Nagle uświadomiłem sobie okropność sytuacyi: opuszczony mąż, żyjący dalej z dzieckiem swem w pośrodku obyczajowej, uregulowanej, a ścisłej tajemniczości w Beni-Mora, gdzie wiele kobiet wcale z domu nie wychodzi, a gdzie te, które wychodzą, o ile nie są tancerkami publicznemi, tak są gęsto zawoalowane, że rysów ich rozeznać nie można.

— I cóż pan zrobiłeś?— pytałem dalej.

— Szukałem, o tyle, o ile szukać można w arabskiem mieście, ale nie udało mi się dociec niczego. Chciałem zciągać zasłonę z każdej zawoalowanej kobiety. Nareszcie wydalono mnie z Beni-Mora.

— Kto pana wydalił?

— Francuskie władze, moi właśni rodacy, — roześmiał się gorzko — Chcieli mnie uchronić, bali się, iż skończy się na tem, że mnie zamordują, *m'sieu.*

— I Zamordowaliby pana z pewnością.

— Czemuby nie! Wtedy to przybyłem tutaj, trzymać gospodę dla dyliżansu, który wozi pocztę na południe; gdyż nie chciałem opuszczać tego kraju, dopóki...

Przerwał

— A „wróżący“ z piasku?

— Zostawiłem go w Beni-Mora. — Uśmiechnął się i dodał, że wie o nim tyle, co i ja; i może to prawda. Czy ja wiem?

— Ale skąd pańska nazwa.

— Aa! — Światło w jego oczach rozżarzyło się, jak węgiel czerwony. — Byłem tu od jedenastu miesięcy, gdy pewnego letniego południa przed samym zachodem słońca, posłyszałem wielką wrzawę: bicie w bębny, pisk afrykańskich piszczałek i chrapanie wielbłądów na drodze, którą pan dzisiaj przybyłeś. Byłem w domu, tu, gdzie teraz siedzimy, a mała Marya bawiła się przy studni, tak, że mogłem widzieć ją przez okno. Po tych dźwiękach poznałem, że nadciąga wielka karawana, idąca ku południowi. Oni zawzawsze poją wielbłądy przy studni; stanąłem więc przy oknie, chcąc na nich popatrzeć. Mała Marya stała także, ocieniając oczy od słońca swą malutką rączką. Bębny i piszczałki stawały się głośniejsze i z poza narożnika gospody ukazała się tak wielka karawana, jakiej jeszcze nie widziałem nigdy: do stu wielbłądów, ludzie na koniach, wolno prowadzone muły i osły, kabylskie psy i kozy, a wszystko to z nieustającą muzyką i pod flagą kaida, powiewającą na przedzie. Zakręcili ku studni, jak się tego spodziewałem. a mała Marya stała wciąż, przyglądając się im ciekawie. *M'sieu,* czworoboczne siodła były na niektórych z wielbłądów, a na tych czworobocznych siodłach siedziały zawoalowane kobiety.

Popatrzył na mnie bystro.

— Zawoalowane kobiety? — powtórzyłem.

— Dojechawszy do studni, kazali wielbłądom przyklęknąć, żeby kobiety zsiąść mogły; a jedna z tych kobiet, zsiadłszy, dostrzegła małą Maryę, stojącą tam i zasłaniającą rączyną oczy. Ta kobieta wydała głośny okrzyk poza swą zasłoną. Ja usłyszałem *m'sieu,* stojąc tu przy oknie, krzyk tej kobiety i ujrzałem, że ona biegnie ku mojej maleńkiej.

Wstał z wolna ze swego siedzenia i stanął obok drewnianej okiennicy, o którą wiatr piaskiem ciskał.

— W takiem miejscu, jak tu, *m'sieu,* człowiek ma zawsze rewolwer przy sobie.

Wyciągnął ręką rewolwer z kieszeni i przyłożył go do okiennicy.

— Gdym usłyszał krzyk tej kobiety, dobyłem rewolwer. Gdym ujrzał ją biegnącą ku dziecku, wypaliłem, a kula przebiła zasłonę.

Schował rewolwer do kieszeni i usiadł, spokojny już teraz.

— I stąd poszło, że nazywają mnie „Celnym strzelcem“.

Milczałem utkwiwszy w nim oczy.

— A gdy napojono wielbłądy, karawana poszła dalej.

— Ale... ale Arabowie...

— Kaid kazał ciało przytwierdzić do osła — mówiono mi potem.

— A pan na to nie patrzyłeś?

— Nie. Zabrałem dziecinę do domu. Rozkrzyczała się i musiałem ją uspakajać. Właśnie w dwa dni później, podczas gdy ja byłem na targu, skorpion ją ukąsił. Umarła, zanim wróciłem. No i cóż *m'sieu,* nie żałuje pan teraz, że jadł pan wieczerzę?

Zanim zdążyłem zebrać się na odpowiedź, drzwi od podwórza uchyliły się i wpadł woźnica, a za nim chmura wirującego piasku.

— *Nom d'un Mieu!* — zawołał — dajcież mi na miłość boską kubek wina „Celny strzelcze“! Mam gardło pełne piasku.

Ściągnął płaszcz, wywrócił go i jął wytrząsać piasek z kieszeni, podczas gdy „Celny strzelec“ poszedł do tego kąta w kuchni, gdzie rzędem oparte o ścianę, stały butelki.

---

## GOLGOTA.

Płonie niebo — jęczy ziemia,
Hen... na skale... wzwyż,
Myśl przytłacza — wzrok oniemia
Wielki czarny krzyż!..

Słońce gaśnie, mrok zapada,
Z hukiem pęka grób....
Ziemia w szmaty się rozpada,
Z mogił wstaje trup..

Od tej skały, od tej góry
Wieje święty strach,
Upadaią stare mury
Drży świątyni gmach

A na górze, w majestacie
Purpurowych chmur
Krzyż rozpięty na szkarłacie
Wśród anielskich piór;

Na tej skale — wśród zamętu
Kona stary świat...
Krew nowego Testamentu
Nowy stwarza ład...

Grzmoty toczą się rozgłośnie
Pęka bramy spiż...
...Na Golgocie w bezmiar rośnie
...Gorejący krzyż!!

„Resurrexit sicut dixit“
Jak te dzwony brzmią...
Ile w głosach ich potęgi
Lecą ponad świata kręgi
Huczą... głoszą drżą...

Oto z grobu wstał..
Niepojętą swoją mocą
Po zwycięstwie ponad nocą
Wśród trzęsienia skał...

Hymn tryumfu gra,
Przez zwalone śmierci wrota
Gwiazda życia wschodzi złota,
Promieniami drga...

Ciężar ludzkich win
Ludzkie bole łzy i troski
Na swe barki przyjął boskie
Prosty, cieśli Syn...

Oto ceną krwi,
Co czerwone grzechy leczy,
Otwarł Cichy Syn człowieczy
Jasnych rajów drzwi...

*Artur Popiel.*

---

## Hej wiosno!

Hej wiosno, powróciłaś, czarowna królewno,
Ale ty już nie taka jak byłaś przed laty...
Nie mówisz mi do duszy tak anielsko—śpiewne,
Nie tak wonne czarowne łudzące twe kwiaty...

Hej wiosno! hej królewno jasna złoto-kosa,
Dziś na twoje zielono-kwieciste kobierce
Z moich oczu się sączy łez milczących rosa...
Twoja rozkosz dla innych... nie dla cię me serce...

Hej wiosno, tyś już nie ta co byłaś przed laty...
Już nie ta w tobie cudność, nie ta miłość w tobie
Kiedy jeszcze raz przyjdziesz, może twoje kwiaty
Okwiecą mnie, okryją darnią w ciemnym grobie.

Hej wiosno, nie ujrzę ja wtedy twego słonka,
Ani śpiewu skowronka twego nie usłyszę.
Ale gdy się Magdusia na mój grób zabłąka
Usłyszę ja jej kroki, w zagrobową ciszę.

*Janiek z Bugaja.*

---

## Hej fujarko ma wierzbowa!

Hej fujarko ma wierzbowa,
Moim tchnieniem graj,
Moim sercem, moją duszą.
W mój ojczysty kraj.

Hej fujarko ma wierzbowa,
Moim Braciom graj,
Gdy w niedoli, serce boli...
Łzą współczucia łkaj.

Hej fujarko ma wierzbowa,
Twój miłosny śpiew
Niechaj łączy bratnie serca
Co rozłączył gniew...

Hej fujarko ma wierzbowa
Niechaj hejnał twój
Budzi moich sennych braci
Na ten wielki bój...

Hej fujarko, piosenkami
Ojczyźnie tak służ,
Że aż echem ci odpowie,
Cała wszerz i wzdłuż...

*Janiek z Bugaja.*

---

»wet wysoka płaca nie może pojednać mię »z przykrością sytuacyi. W sobotę wracam »do miasta na stałe. Pan Carruthers nabył »powóz, a tak niebezpieczeństwo odludnej »drogi, jeżeli kiedykolwiek jakie istniało, już »teraz minęło.

»Przyczyną mego opuszczenia posady nie »jest tylko napięta sytuacya z panem Carruthers, ale także powrót tego wstrętnego »człowieka, Woodley'a. Był on zawsze okropny, ale teraz wygląda jeszcze straszniej niż »kiedykolwiek, ponieważ, jak mi się zdaje, »wydarzył mu się jakiś wypadek, z powodu »którego jest mocno skonsternowany. Widziałam go przez okno; jestem bardzo zadowolona, że się z nim nie spotkałam. Rozmawiał »długo z panem Carruthers, który później »wydał mi się wielce wzburzonym. Woodley »musi mieszkać gdzieś w sąsiedztwie, ponieważ nie spał tutaj, a jednak dzisiaj rano »widziałam go, czołgającego się wśród zarośli. Wolałabym zobaczyć dzikie zwierzę niż »jego. Brzydzę się nim i obawiam się go więcej, niż mogę to wysłowić. Jak może pan »Carruthers znosić taką istotę? W każdym »razie wszystkie moje troski zakończą się »w sobotę.

— I ja tego się spodziewam, Watsonie — rzekł Holmes poważnie.

— Dostrzegam w tej sprawie ciemną intrygę, naszym więc obowiązkiem jest postarać się o to, aby panna Smith w ostatniej swej podróży nie doznała żadnej przykrości. Sądzę więc, Watsonie, że musimy udać się tam w sobotę rano i upewnić się, iż to ciekawe a bezskuteczne śledzenie nie przyjmie jakiegoś nieoczekiwanego zakończenia.

Przyznam się, że dotychczas nie brałem tego wypadku na seryo, który mi się wydawał raczej humorystycznym i dziwacznym niż niebezpiecznym. Wszak to jest zupełnie zwyczajną rzeczą, że mężczyzna postępuje za piękną kobietą: a jeżeli ów Don Juan tak mało posiadał odwagi, że nie tylko nie ośmielił się zbliżyć do panny Smith ale nawet zmykał przed nią, to tem mniej należało się go obawiać. Inaczej miała się rzecz z dzikim Woodley'em, lecz ten, oprócz jednego wypadku, nie naprzykrzał się przecież naszej klientce, a teraz odwiedził Carruthersa, nie starając się wcale zobaczyć z nią. Nieznajomy cyklista był bez wątpienia jednym z odwiedzających Hall przy końcu każdego tygodnia, o których Holmesowi mówił szynkarz, lecz kim on był albo czego chciał. było tak samo niejasnem jak i poprzednio. Surowa powaga Holmesa i fakt, że przed wyjściem z domu wsunął rewolwer do kieszeni, nasunął mi myśl, że poza tym ciekawym szeregiem wypadków może się kryć tragedya.

Po dżdżystej nocy nastąpił wspaniały poranek; pola pokryte plamami lśniącemi kwitnącego jaskru, wydawały się cudnemi oczom, znużonym widokiem ciemnobrunatnego, płowego i szarego Londynu. Ja i Holmes kroczyliśmy szeroką, piaszczystą drogą, wdychając świeże powietrze poranne i ciesząc się śpiewem ptactwa i orzeźwiającem tchnieniem wiosny. Z pagórka, wznoszącego się na drodze w pobliżu Croksburg Hill, dostrzegliśmy ponury Hall, otoczony prastarymi dębami, które jednak mimo swego sędziwego wieku nie dorównywały latami samemu budynkowi. Holmes zwrócił moją uwagę na drogę, która podobna do czerwono-żółtej wstęgi, wiła się wśród ciemnych, pokrytych wrzosem pól i zieleniejących gajów. W oddali można było dostrzedz wehikuł, wyglądający jak czarna kropka, poruszający się w naszą stronę. Holmes wydał okrzyk zniecierpliwienia.

Przyszliśmy tutaj o pół godziny wcześniej — rzekł Sherlock. A jednak jeżeli to jest jej powóz, to musiała wybrać się do wcześniejszego pociągu. Wobec tego obawiam się, Watsonie, że minie Charlington, zanim będziemy mogli spotkać się z nią.

Z chwilą, kiedy opuściliśmy pagórek, straciliśmy z oczu wehikuł; biegliśmy tak szybko, że ja, nieprzyzwyczajony do podobnych ćwiczeń, wkrótce zadyszany przystanąłem w tyle za Holmesem, pędzącym szybko naprzód i nie zwalniającym ani na chwilę kroku; przyjaciel mój posiadał niewyczerpany zasób energii nerwowej, która go i w tym wypadku podtrzymywała. Nagle, w odległości jakich 100 yardów przedemną, zatrzymał się, załamując ręce z wyrazem boleści i rozpaczy. W tej samej chwili ukazał się na zakręcie drogi szybko kłusujący koń, ciągnący za sobą pusty powóz i porzucone lejce.

— Za późno, Watsonie; za późno — zawołał Holmes, kiedy zadyszany stanąłem przy jego boku. — Głupio postąpiłem, nie licząc się z możliwością wybrania przez nią wcześniejszego pociągu. To jest uprowadzenie. Watsonie! Morderstwo! Bóg zresztą wie, co to jest.

— Zatarasuj drogę! Zatrzymaj konia! Dobrze. Teraz wsiądźmy do powozu i przekonajmy się, czy można jeszcze naprawić mój błąd.

Wyskoczyliśmy na wóz, a Holmes, nawróciwszy konia, podciął go mocno; kiedy minęliśmy zakręt, rozpostarła się przed nami w całej swej rozciągłości drogą pomiędzy Hall a otwartem polem. Schwyciłem Holmesa za ramię.

— Czy widzisz tego mężczyznę! — szepnąłem.

Samotny cyklista pędził ku nam. Z pochyloną głową, z zaokrąglonemi ramionami zdawał się wydobywać wszystkich sił, pędząc jak oszalały. Nagle podniósł swą brodatą twarz, a przyglądnąwszy się nam bacznie, zatrzymał się, zeskakując z maszyny. Jego czarna jak węgiel broda dziwnie odbijała od bladości twarzy, a oczy jego świeciły się jakimś gorączkowym blaskiem. Wlepił swój wzrok w nas z odcieniem pewnego zdumienia na twarzy.

— Hola! Zatrzymajcie się! — wykrzyknął, zagradzając nam rowerem drogę. — W jaki sposób weszliście w posiadanie tego powozu? Zatrzymajcie się! — zawołał, wyciągając rewolwer z kieszeni. Stanijcie, mówię wam, albo, klnę się na św. Grzegorza, wpakuję kulę w waszego konia!

Holmes rzucił mi lejce, a sam zeskoczył z wozu.

— Właśnie pan jesteś człowiekiem, z którym pragniemy pomówić. Gdzie jest panna Violet Smith? — rzekł w szybki i jasny sposób.

— Tego samego pragnę się od panów dowiedzieć, którzy jako znajdujący się w jej powozie, powinni wiedzieć o tem.

— Powóz panny Violet spotkaliśmy na drodze, ale zupełnie próżny. Przybyliśmy tutaj, aby ratować młodą kobietę.

— Boże wielki! co mam robić? jęknął obcy z rozpaczą. Dostali więc ją w swe ręce, ten pies Woodley i szubrawiec proboszcz. Chodźcie, panowie, chodźcie. jeżeli rzeczywiście jesteście jej przyjaciółmi. Stanijcie obok mnie a ocalimy ją, choćbym sam miał śmierć ponieść w Charlinghton Wood.

Z pistoletem w ręku pobiegł po waryacku w stronę jednej z przerw w żywopłocie. Ja i Holmes podążyliśmy za nim, pozostawiając konia, pasącego się obok drogi.

— Oto jest droga, którą przeszli — rzekł, wskazując na ślady licznych stóp na błotnistej ścieżce. — Hola! Zatrzymajcie się na chwilę! Kto tu znajduje się w zaroślach?

Był to siedemnastoletni młodzieniec; leżał na wznak, z kolanami wzniesionemi ku górze, i ze straszną raną na głowie. Był bezprzytomny, ale żywy. Pierwszy rzut oka na jego ranę, przekonało mię, że uderzenie nie przełamało kości.

— To jest Piotr, chłopak stajenny, który ją odwoził na stacyę — zawołał obcy. — Te bestye ściągnęły go z wozu i ogłuszyły uderzeniem. Pozostawcie go; nie jesteśmy wstanie w niczem mu pomódz, a możemy ocalić ją od najgorszego losu, jaki może przypaść w udziale kobiecie.

Pobiegliśmy w szalonym pędzie ścieżką, wijącą się wśród drzew. Osiągnęliśmy już zarośla, które otaczały dom, kiedy nagle Holmes cofnął się.

— Oni nie poszli do domu. Tutaj na lewo są ich ślady, tutaj, obok wawrzynowych krzewów! A, nie powiedziałem!

W tej chwili, kiedy mówił, rozległ się z gęstej, zielonej grupy krzewów, znajdujących się przed nami, przeraźliwy, kobiecy krzyk — krzyk, w którym drgał szalony przestrach. Krzyk ten zakończył się naraz w swej najwyższej nucie łkaniem pewnego rodzaju.

— Tą drogą! Tą drogą! Oni znajdują się w alei kręgielnianej — zawołał obcy, przedzierając się przez zarośla. — O podłe psy! Postępujcie za mną, gentlemenowie! Za późno! za późno! Żeby to piorun trzasł!

Nagle wydostaliśmy się na piękną, zieloną polankę, otoczoną odwiecznemi drzewami, na której w oddali pod cieniem potężnego dębu, dostrzegliśmy grupę, złożoną z trzech osób. Jedną z nich była kobieta, nasza klientka, słaniająca się i mdlejąca, z chusteczką do nosa przy twarzy. Naprzeciw niej stał brutalny, o ordynarnej twarzy i czerwonym wąsie młody mężczyzna, który rozstawiwszy szeroko nogi, podparł się jedną ręką pod bok, a drugą machał szpicrutą z tryumfującą miną. Pomiędzy nimi znajdował się starszy, o szpakowatej brodzie mężczyzna, noszący na sobie krótką komżę na jasnem ubraniu, który widocznie co dopiero połączył węzłem małżeńskim dwie osoby, ponieważ w tej chwili, k[illegible] liśmy się, wkładał książkę do n[illegible] swej kieszeni, a nieszczęsnem[illegible]ńcowi składał gratulacye, uderzając go lekko po plecach.

— Już małżeństwo dokonane — szepnąłem.

— Chodźcie naprzód — krzyknął nasz przewodnik. — Naprzód! Pobiegł przez polankę, a Holmes i ja postępowaliśmy tuż za nim. Na nasz widok młoda kobieta zachwiała się i oparła się o pień drzewa, aby nie upaść. Williamson, były ksiądz, ukłonił nam się z udaną grzecznością, a zuchwały Woodley wybuchnął brutalnym, tryumfującym śmiechem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

## Rada Nadzorcza Towarzystwa Oszczędności i Pożyczek w Kalwaryi Zebrzydowskiej

Zarejestrowanego z ograniczoną poręką

Zawiadamia P. T. Członków, że odbędzie się zwyczajne

# Walne Zgromadzenie

**w dniu 22 Kwietnia 1909 r. o godzinie 2-giej po południu z następującym porządkiem dziennym:**

1. Odczytanie protokółu z ostatniego zgromadzenia.
2. Sprawozdanie Dyrekcyi z czynności i rachunków za rok 1908.
3. Sprawozdanie Rady Nadzorczej, Komisyi kontrolującej i rewizyjnej z wnioskiem o udzielenie absolutoryum.
4. Wniosek Rady Nadzorczej w przedmiocie rozdziału zysku.
5. Zatwierdzenie Członków Dyrekcyi i Zastępców.
6. Uzupełnienie Rady Nadzorczej.
7. Wybór komisyi rewizyjnej po myśli § 53 statutu.
8. Wnioski członków.

Do prawomości uchwał Walnego Zgromadzenia wystarczy każda ilość zebranych członków! § 36 statutu.

Bilans i odnośna inwentarze są wyłożone w biurze Tow. członkom do przeglądnięcia w godzinach urzędowania.

Sekretarz: **Dr. D. Förster.** Przewodniczący: **Jan Fuchs.**